



# CHŁOPI

Władysław Stanisław Reymont

**K** Kolorowa  
Klasyka



# CHŁOPI

Władysław Stanisław Reymont

Ilustracje:  
Apoloniusz Kędzierski  
(1927-1928)

Władysław Reymont

# Chłopi

Ilustracje:

Apoloniusz Kędzierski (1927-1928)

Redakcja:

Agnieszka Antosiewicz

Korekta:

Agnieszka Antosiewicz, Paulina Roszak-Niemirska, Maria Zagnińska

Oprawa graficzna:

Aleksandra Michalska-Szwagierczak

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.  
2019

ISBN 978-83-7517-913-2

Wydawnictwo GREG®

ul. Kłasztorna 2B

31-979 Kraków

tel. (12) 680 15 50

[www.greg.pl](http://www.greg.pl)

Księgarnia internetowa: [www.greg.pl](http://www.greg.pl)

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana  
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:

Aleksandra Zimoch

Wykorzystano obraz Apoloniusza Kędzierskiego *Głowa młodej łowiczanki*, 1910.

Własność: Muzeum Narodowe w Warszawie.

Skład i łamanie:

Pracownia Register

TOM I



# I



iech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co?

– We świat, do ludzi, dobrodzieju kochany – w tyli świat!... – zakreśliła kijaszkiem łuk od wschodu do zachodu. Ksiądz spojrział bezwiednie w tę dal i rychło przywarł oczy, bo nad zachodem wisiało oślepiające słońce; a potem spytał ciszej, lękliwiej jakby:

– Wypędzili was Klębowie, co? A może to ino niezgoda?... może...

Nie zaraz odrzekła, wyprostowała się nieco, powlekła ciężko starymi wypełzłymi oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachach wsi, zanurzonej w sadach.

– I... nie wypędzali... jakżeby... dobre są ludzie – krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było. Samam ino zmiarkowała, że trza mi w świat. Z cudzego woza – to złaż choć i w pół morza. Trza było... roboty już la mnie nie miały... na zimę idzie, to jakże – darmo mi to dadzą warzę abo i ten kąt do spania?... A że rychtyk i ciołka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę, tom i zrobiła miejsce... jakże, bydlątek szkoda, Boże stworzenie też... A ludzie dobre, bo mię choć latem przytulą, kąta ani tej łyżki stawy nie żałują – że se człowiek kiej jaka gospodyni paradyje...

A na zimę we świat, po proszonym.

Niewiela mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do zwiesny z Panajezusową łaską przechyrlam, a jeszcze się coś niecoś grosza uścibi – to rychtyk la nich na przednowek... krewniaki przeciech...

A już ta Jezusiczek przenaјsłodszy biedoty opuścić nie opuści.

– Nie opuści, nie – zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.

– Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju!

Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łyzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zradlonej jak te jesienne podorówki.

– Idźcie z Bogiem, idźcie – szeptał zakłopotany podnosząc ją z ziemi.

Zebrała drżącymi rękami torby i kijaszek z jeżem na końcu<sup>1</sup>, przeżegnała się i poszła szeroką, wyboistą drogą ku lasom; raz wraz tylko odwracała się ku wsi, ku polom, na których kopano kartofle, i na te dymy pastusich ognisk, co się snuły nisko nad ścierniskami – poglądała żałośnie, aż i zniknęła za przydrożnymi krzami<sup>2</sup>.

A ksiądz usiadł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewiarz, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pograżonych ziemiach, to po bladym niebie błędziły lub zatrzymywały się na parobku, pochylonym nad pługiem.

<sup>1</sup> *kijaszek z jeżem na końcu* – kij ze skórką jeża na końcu, używany przez żebraków dla obrony przed psami.

<sup>2</sup> *krze* – krzaki.



– Walek... bruzda krzywa... te... – zawołał unosząc się nieco i chodził już oczami krok za krokiem za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przebiegać czerwone litery brewiarza i poruszać ustami, ale co chwila gonił oczami siwki, to stadko wron, które ostrożnie, z wyciągniętymi dziobami podskakiwały w brudzie i raz wraz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzioby o twarde, zeszcłe skiby.

– Walek! a śmignij no prawą po portkach, bo zostaje!

Uśmiechnął się, bo jakoż po bacie prawa już równo ciągnęła, a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo, poklepał je przyjaźnie po karkach, aż wyciągały do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały twarz.

– Heeet-aa! – wołał śpiewnie Walek, wyciągnął błyszczący jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcami, że zatoczyły krótki łuk, wraził krój błyszczący w rżysko, śmignął batem, konie pociąły z miejsca, aż zgrzytnęły orczyki – i orał dalej wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od drogi po pochyłości i niby długi wąż zgrzebnych skib rozciągał się aż ku wsi, leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonych i żółtych sadach.

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej – wisiało w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krze i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeszcłe twarde skiby kładły za się cienie mocne i chłodne.

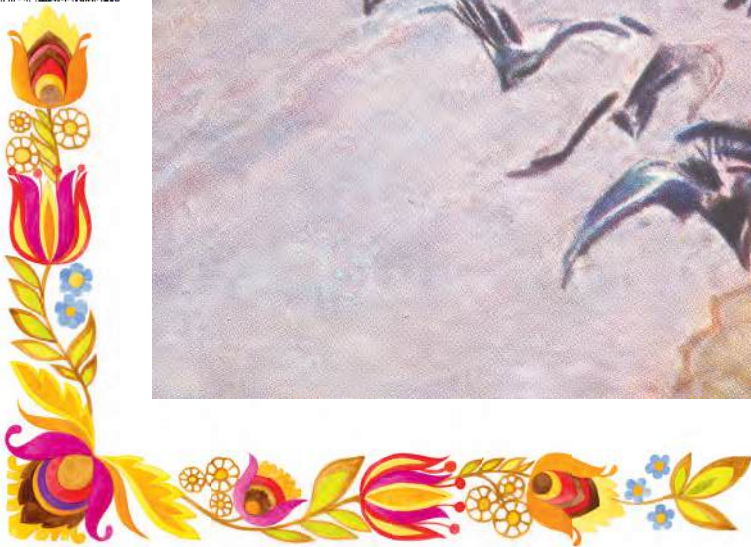
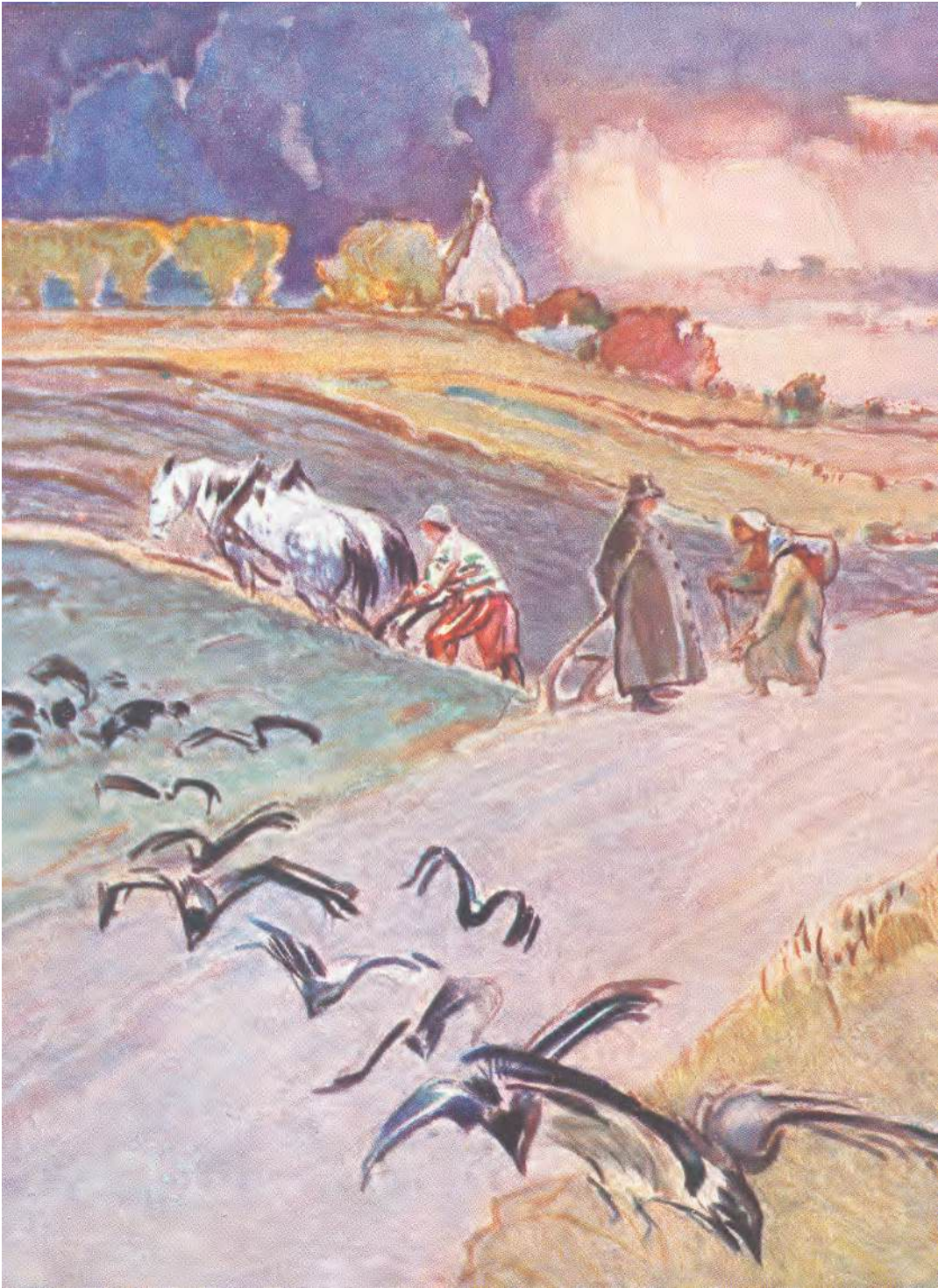
Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkością w powietrzu, przymglonym kurzawą słoneczną; na wysokim, bladym błękitcie leżały gdzieniegdzie bezładnie porzucane ogromne białe chmury niby zwaly śniegów, nawiane przez wichry i postrzępione.

A pod nimi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów – misa, przez którą, jak srebrne przedziwo rozbłysłe w słońcu, migotała się w skrętach rzeka spod olch i łożyn nadbrzeżnych. Wzbierała w środku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dokoła stawu, leżała wieś i grała w słońcu jesiennymi barwami sadów – niby czerwono-żółta liszka, zwinęta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splątane nieco przedziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin – tylko gdzieniegdzie w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota – łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to białe omdlałe, wyszcłe łożyska strumieni albo leżały piaszczyste senne drogi i nad nimi rzędy potężnych topoli z wolna wspinały się na wzgórza i pochylały ku lasom.

Ksiądz ocknął się z zapatrzenia, bo długi, żalony ryk rozległ się gdzieś niedaleko, aż wrony poderwały się z krzykiem i skośnym rzutem leciały na kopaniska – a czarny migocący cień biegł za nimi dołem po rżyskach i podorówkach.

Przysłonił ręką oczy i patrzył pod słońce – drogą od lasów szła jakaś dziewczyna i ciągnęła za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę; gdy przechodziła obok, pochwałała Boga i chciała skrócić, aby ksiądz pocałować w rękę, ale krowa szarpnęła ją w bok i znowu ryczeć zaczęła.







JESIEN

– Na sprzedanie prowadzisz, co?

– Ni... ino do młynarzowego bysia... a stójże, zapowietrzona... Wściekłaś się czy co! – wołała zadyszana, usiłując powstrzymać, ale krowa ją pociągnęła, że już obie gnały w dyrdy, aż kurz je zakrył obłokiem.

A potem włókł się ciężko po piaszczystej drodze Żyd szmacciarz, pchał przed sobą taczki dobrze naładowane, bo raz wraz przysiadł i ciężko dyszał.

– Co tam słychać, Moszku?

– Co słytać?... Komu dobrze, to i dobrze słytać... Kartofle chwała Bogu obrodziły, żyto sypie, kapusta będzie. Kto ma kartofle, kto ma żyto, kto ma kapustę – temu dobrze słytać! – Pocałował księdza w rękaw, założył na kark pas od taczek i pchał dalej, lżej już, bo zaczynał się spadek łagodny.

A potem szedł środkiem drogi w kurzawie, bo zamiatał nogami, ślepy dziad, prowadzony przez tłustego kundla na sznurku.

A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten ujrzawszy księdza przy drodze okrążył go z dala i biegł na przełaj pól do karczmy.

To znowu chłop z sąsiedniej wsi wiózł zboże do młyna albo Żydówka pędziła stado kupionych gęsi.

A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzany życzliwym słowem i spojrzeniem księdza, któren, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął do Walka:

– Doórż do brzózek i do domu... na nic się konie zmachają.

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jasnym, pełnym kochania spojrzeniem ogarniał pola...

...Rzędy kobiet czerwieńczyły się na kopaniskach... rozlegał się grochot zsypywanych do wozów kartofli... miejscami orano jeszcze pod siew... stada krów srokatej pasły się na ugorach... długie, popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących... to gęsi niby płaty śniegów bieleły się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły i długie, niebieskie warkoczce dymów ciągnęły się nad zagonami... wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słytać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w zbitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zerwała lub krzyk nie wiadomo skąd powstały leciał nisko, tłukł się po bruzdach i dołach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzędzonych srebrnymi pajęczynami, w pustych sennych drogach, nad którymi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach... to włóczono role i tuman szarego, przesłonecznionego kurzu podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze i opadał, a spod niego niby z obłoku wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą – szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi, dochodził do końca zagonów, nabierał z worka zboża, nawracał i z wolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a w końcu już był cały widny na tle słońca z tym samym błogosławiącym ruchem siejby; z tym samym świętym rzutem rozrzuczał zboże, co jak złoty pył kolistym wirem padało na ziemię.



Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom, obtłukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie całowali w rękaw sutanny.

Pogładził ich po głowach i rzekł upominająco:

– Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok gruszek mieć nie będziecie.

– My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo – ozwał się śmielszy.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczach.

– Szczęść Boże w robocie!

– Boże zapłać, dziękujemy! – odpowiedzieli razem, prostując się, i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

– Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? – mówił wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn; brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać.

– Juści, kartofle kiej kocie łby i dużo pod krzami.

– Ha, to świnię zdrożęją, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika.

– Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły, a i do Prus kupują.

– Prawda, prawda. A czyje to ziemniaki kopiecie?

– A Borynowe.

– Gospodarza nie widzę, tom i rozeznać nie rozeznał.

– Ociec pojechali z moim ano do boru.

– A to wy, Anna, jakże się macie? – zwrócił się do młodej, przystojnej kobiety w czerwonej chustce na głowie, która, że ręce miała uwalane ziemią, przez zapaskę ujęła jego rękę i pocałowała.

– Jakże się ma ten wasz chłopak, com go to we żniwa chrzcil?

– Bóg zapłać dobrodziejowi, zdrów się chowa i coś niecoś bałykuje<sup>3</sup>.

– No, zostańcie z Bogiem.

– Panu Bogu oddajem.

I ksiądz skreślił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi, przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero gdy przeszedł niskie, kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłami ku kaplicy, co stała wpośród pozółkłych brzoź i klonów czerwonych, rozwiązały się im języki.

– Lepszego to i na całym świecie nie znaleźć – zaczęła któraś z kobiet.

– Juści, chciały go też zabrać do miasta... żeby ociec z wójtem nie jeździli prosić biskupa, to byśwa go i nie mieli... Kopta no, ludzie, kopta, bo do wieczora mało daleko, a ziemniaków mało wiele! – mówiła Anna wysypując swój kosz na kupę żółcąca się na rozkopanej ziemi, pełnej zeschniętych łęciny<sup>4</sup>.

Wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słyhać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś niektoś wyprostował zgięty i zbolały grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego

<sup>3</sup> bałykuje – raczkuje.

<sup>4</sup> łęciny – zeschnięte todygi ziemniaków.



przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza przed się stojącego.

Ludzi było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników<sup>5</sup>, a za nimi bieliły się dwa krzyżaki, u których w płachtach leżały dzieci raz wraz popłakując.

– A tak i stara poszła we świat – zaczęła Jagustynka.

– Kto? – spytała Anna podnosząc się.

– A stara Agata.

– Na żebry...

– Juści, że na żebry! Hale! nie na słodkości, ino na żebry. Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato, to już ją puścili na wolny dech.

– Wróci na zwiesnę, to im naznosi w torebekkach, a to i cukru, a to i harbaty, a to i grosza coś niecoś; zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se wypoczena... A wujna, a ciotka jej mówią, póki tego ostatniego szelągka od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca nie ma w sieni ani we chliwie. Ścierwy, psie krewniaki i zapowietrzona – wybuchała Jagustynka i taki gniew ją przejął, że stara jej twarz posiniała.

– Biednemu to zawsze na ten przykład wiatr w oczy – dorzucił jeden z komorników, stary, wynędzniały chłop z krzywą głową.

– Kopta no, ludzie, kopta – popędzała Anna nierada tokowi rozmowy.

Jagustynka, że to długo nie mogła bez gadania, to spojrzała na siejącego i rzekła:

– Te Paczesie to stare chłopcy, że jaże im już kłaki na łbach puszczejają...

– Ale kawalery zawdy – rzekła insza kobieta.

– A tyle dziewuch się starzeje albo i służby szukać idzie...

– Przeciech, a one mają cały półwłóczek<sup>6</sup> i jeszcze łączkę za młynem.

– Juści, abo to im matka da się żenić... abo to im popuści...

– A kto by krowy doił, kto by opierał, kto by kole gospodarstwa abo i śwyni chodził...

– Obrządzają se matulę i Jagusię – bo jakże, Jagna kiej pani jaka, kiej i druga dzie-dziczka, ino się stroi... a myje, a w lusterku przegląda, a warkocze zaplata.

– I patrzy ino, kogo by puścić pod pierzynę, któren aby mocny! – dorzuciła znowu ze złym uśmiechem Jagustynka.

– Józek Banachów posyłał z wódką – nie chciała.

– Cie... dziedziczka zapowietrzona.

– A stara ino w kościele siaduje, a na książce się modli, a na odpusty chodzi!

– Prawda, ale czarownica to też jest; a Wawrzonowym krowom to chto mleko odebrał, co? A jak na Jadamowego chłopaka, co jej śliwki w sadku obrywał, jakieś złe słowo powiedziało, to mu się zaraz taki kołtun<sup>7</sup> zbił i tak go pokręciło, Jezus!

– I ma tu błogosławieństwo Boże być nad narodem, kiej takie we wsi siedzą...

<sup>5</sup> *komornik* – ubogi chłop, mieszkający u zamożniejszego gospodarza i pracujący na jego ziemi.

<sup>6</sup> *półwłóczek* – jednostka miary powierzchni uprawnej, ok. 15 mórg.

<sup>7</sup> *kołtun* – choroba głowy. Jej objawem były zlepione włosy, co było wywołane egzemą skóry zabrudzonej i zawszonej.





– A drzewiej, kiej jeszcze krowy pasalam tatusiowe, to baczę, że takie ze wsi wyganiałi – dodała znowu Jagustynka.

– Tym się krzywda nie stanie, bo ma ją kto strzec... – i zniżając głos do szeptu, a patrząc z ukosa na Annę, co kopała na przedzie pierwszą z kraja redlinę<sup>8</sup>, szeptała Jagustynka sąsiadkom:

– A pono pierwszy do obrony to ano chłop Hanki... cieka się on za Jagną kiej ten pies...

– Laboga... moiściewy... cudeńka prawieć... Hale! to by już grzech i obraza boska była... – szeptały do siebie kopiąc i nie podnosząc głów.

– A bo to on jeden... a to jak za suką, tak chłopaki za nią ganiają.

– A bo też urodę ma, to ma; wypasiona kiej jałowica, biała na gębie, a ślepie to ma rychtyk jak te lnowe kwiatki... a mocna, że i niejeden chłop jej nie uradzi...

– A bo to co robi, ino żre a wysypia się, to nie ma urodna być...

Milczały długą chwilę, bo trzeba było kartofle wysypywać na kupę.

A potem już z rzadka pogadywały to o tym, to o owym aż i zamilkły, bo któraś dojrzała, że od wsi rzykiem bieży Józka Borynianka.

Jakoż i ta nadbiegała zziajana i już z daleka krzyczała:

– Hanka, a chodźcie ino do chałupy, bo krowie się cosik stało.

– Jezus Maria, a której?...

– A to ci graniastej... a to ci... tchu złapać nie mogę...

– Loboga, aże mnie zatknęło, myślałam, że mojej... – zawołała z ulgą Anna.

– Witek ją co dopiero przygnał, bo gajowy ich wypędził z zagajów. Krowa się zlachalała, bo taka śpaśna... i zaraz przed oborą upadła... i ani pić nie pije, ani żreć nie żre, ino się tarza, a ryczy, że loboga!

– Ojca to nie ma?

– Ni, tatulo jeszcze nie przyjechali. O Jezus, mój Jezus, taka krowa, co na raz dobrze i garniec mleka dawała. A chodźcież rychło.

– Duchem ci lecę, w to oczymgnienie.

Jakoż i wyjęła dziecko z płachty, nadziała mu czapeczkę z kutasikami, okręciła zapaską i poszła żywo, a taka była strwożona wieścią, że nawet nie opuściła wełniaka, zapomniała do cna, aż jej odsłonięte do kolan nogi bieleły się po roli. Józka biegła przodem.

A kopacze, każdy okrakiem nad swoją redliną, posuwali się z wolna, kopiąc leniwiej, jako że nikt nie pilił i nie poganiał.

Słońce już się przetaczało na zachód i jakby rozżarzone biegiem szalonym czerwieniło się kołem ogromnym i zsuwało za czarne, wysokie lasy. Mrok gęstniał i pętał już po polach; sunął bruzdami, czał się po rowach, wzbierał w gąszczach i z wolna rozlewał się po ziemi, przygaszał, ogarniał i tłumił barwy, że tylko czuby drzew, wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami.

A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów coraz ostrzej brzmiały w cichym, omroczonym powietrzu.

<sup>8</sup> redlina – odrzucona podczas orki skiba ziemi.

Sygnaturka na kościele zaczęła dzwonić Anioł Pański spiżowym świergotem, że ludzie przystawali i szept pacierzów, niby szemranie opadających listków, padał w mroki.

Ze śpiewami a pokrzykami wesołymi spędzano bydło z pastwisk, co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzaczaste.

Owce pobekiwały tu i owdzie, to gęsi zerwały się z pastwisk i stadami leciały, całe w zorzach zachodu zatopione, że tylko krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

– Ale szkoda, ta graniasta to sielna krowa.

– I... nie na biedaka trafiło.

– A tak i bydłatka żal, co się zmarnuje.

– Gospodyni Boryna nie ma, to wszystko leci kiej przez sito.

– A bo to Hanka nie gospodyni?

– La siebie... jakby na komornym u ojca siedzą, tu juści patrzą, aby ino na swoją stronę coś niecoś urwać, a ojcowego niechta pies pilnuje.

– A Józka, że to jeszcze skrzat głupi, to i cóż poradzi?

– Hale, abo to Boryna nie mógłby gront oddać Antkowi, co?

– A sam pójdzie do nich na wycug<sup>9</sup>, co?... Starzyście, Wawrzku, a do cna jeszcze głupi – zaczęła żywo Jagustynka. – Ho, ho, Boryna jeszcze krzepki, może się ożenić, a głupi by był, żeby dzieciom zapisywał.

– Hale, krzepki to juści, że jest, ale już ma ze sześćdziesiąt років.

– Nie bój się, Wawrzku, każda młódka pójdzie za niego, niechby tylko rzekł.

– Już dwie żony pochował.

– Niech se pochowa i trzecią, Panie Boże mu pomóż, a niech dzieciom, póki żyw, nie daje ni staja, ni lizki jednej, ni tyle, co trepem przydepnie. Ścierwy, wyrzycowałyby go, kiej moje mnie. Dałyby mu wycugi, że na wyrobek by chodził, z głodu by zdychał abo i na żebry, po proszonym szedł. Oddaj ino, co masz, dzieciom – to ci oddadzą; rychtyk ci tego starczy na sznureczek abo i na ten kamień do szyi...

– Ludzie, a to czas do domu, mroczeje.

– Czas, czas! Słońce już zaszło.

Pozbierali prędko motyczki, koszyki, to dwojaki od obiadów i szli wolno gęsiego miedzą, pogadując coś niecoś, a tylko stara Jagustynka wykrzykiwała wciąż namiętnie na dzieci własne, a potem już i na wszystkich pomstowała.

A równo z nimi jakaś dziewczyna gnała maciorę z prosiętami i śpiewała cienkim głósikiem:

*Aj, nie chodź kiele woza,*

*Aj, nie trzymaj się osi,*

*Aj, nie daj chłopu gęby,*

*Aj, choć cię pięknie prosi.*

– Cie, głupia, wrzeszczy, kiejby ją kto ze skóry obdzierał.

<sup>9</sup> wycug – dożywocie, opieka należąca się rodzicom zapisującym dzieciom grunty.



## II



a Borynowym podworcu, obstawionym z trzech stron budowlami gospodarskimi, a z czwartej sadem, który go oddzielał od drogi, już się zebrało dość narodu; kilka kobiet radziło i wydziwiała nad ogromną czerwono-białą krową, leżącą przed oborą na kupie nawozu.

Stary pies, kulawy nieco i z oblaźłą na bokach sierścią, oganiał graniastą, obwąchiwał ją, szczekał, to wypadł w opłotki i gnał dzieci na drogę, co się były wieszały na płotach i zazierały ciekawie w obejście, albo docierał do maciory, co legła pod chałupą i rozwalona jęczała cicho, bo ssaly ją białe, młode prosięta.

Hanka nadbiegła właśnie zziajana, przypadła do krowy i jęła ją głaskać po gębuli i łbie.

– Granula, biedoto, granula! – wołała łzawo, aż buchnęła płaczem i lamentem serdecznym.

A kobiety radziły raz wraz nowe ratowanie chorej; to sól rozpuszczoną wlewali jej w gardło, to topiony z poświęcanej gromnicy воск z mlekiem; radził ktosik mydła z serwatką – insza znowu wołała, żeby krew puścić – ale krowie nic nie pomagało, wyciągała się coraz dłużej, niekiedy podnosiła łeb i porykiwała długo, jakby o ratunek, boleśnie, aż jej piękne oczy o białkach różowych mętniały mgłą i ciężki, rogaty łeb opadał z wysilenia, że ino wysuwała ozór i polizywała ręce Hanki.

– A może by Ambroży co poradził? – zaproponowała któraś.

– Prawda, na chorobach on jest znający – zawtórowali.

– Bieżyj no, Józia. Na Anioł Pański dzwoniłi, to musi jeszcze być przy kościele. Laboga, a jak ociec nadjadą, będzie to pomstowanie, będzie. – A przeciech my niczego niewinowate! – narzekała płaczliwie.

A potem siadła na progu obory, wsadziła chłopakowi w usta, bo popłakiwał, białą, pełną pierś i z trwogą niezmierną spoglądała na krowę rżącą, to przez opłotki na drogę i nasłuchiwała.

W pacierz abo i dwa wpadła Józia z krzykiem, że Jambroży już idą.

Jakoż i przyszedł zaraz dziad może stuletni, prosty jak świeca, choć o nodze drewnianej i o kiju; twarz miał suchą, pomarszczoną jak kartofel na zwieszę i szarą także, wygoloną i pociętą szramami, włosy białe jak mleko kosmykami opadały mu na czoło i kark, bo był z gołą głową.

Poszedł prosto do krowy i dokumentnie ją obejrzał.

– Oho, widzę, że świeże mięso jedli będziet.

– A dyć jej pomóżcie co, wylekujcie, a toć krowa ze trzysta złotych warta – i dopiero po cielęciu, a dyć pomóżcie! O mój Jezu, mój Jezu! – zawołała Józia.

Ambroży wyjął z kieszeni puszczałdo, powecował je po cholewie, przyjrzał się pod zorzę ostrzu i przeciął granuli arterie pod brzuchem – ale krew nie trysnęła, a ciekła wolno, czarna, spieniona.



Stali wszyscy dokoła pochyleni i patrzyli bez oddechu.

– Za późno! Oho, bydłatko ostatnią parę puszcza – rzekł uroczyście Ambroży. – Nic to, ino paskudnik<sup>10</sup> albo i co innego... trza było zaraz, kiej zachorzała... ale te baby to ino juchy do płakania są mądre, a jak trza radzić, to w bek kiej owce. – Splunął pogardliwie, obszedł krowę, zajrzał jej w oczy, przyjrzał się ozorowi, obtarł zakrwawione ręce o jej miękką, lśniącą skórę i zabierał się do odejścia.

– Na ten pochówek dzwonił nie będę, zadzwonita w garki sami.

– Ociec z Antkiem! – krzyknęła Józka i wybiegła na drogę naprzeciw, bo głuchy, ciężki turkot rozległ się z drugiej strony stawu, gdzie z rozczzerwienionej zorzami zachodu kurzawie czerniał długi wóz i konie.

– Tatulu, a to... graniasta już zdycha – wołała, dobiegając do ojca, który skręcał właśnie na tę stronę stawu. Antek szedł w końcu i podtrzymywał, bo wieźli długą sosnę.

– Nie pleć byle czego po próżnicy – mruknął podcinając konie.

– Jambroży puszcza krew i nic... i wosk topiony lali jej w gardziel i nic... i sól... i nic... pewnie paskudnik... Witek pedał, co borowy wygnał ich z zagajów i co granula zara się pokładała i stękała, jaże ją i przygnał...

– Graniasta, najlepsza krowa, ażeby was, ścierwy, pokręciło, kiej tak pilnujecie! – rzucił lejce synowi i z batem w garści pobiegł przodem.

Baby się rozstały, a Witek, który cały czas coś najspokojniej majstrował pod chałupą, skoczył w ogród i przepadł ze strachu, nawet Hanka podniosła się na progę i stała bezradna, strwożona.

– Zmarnowali mi bydłę!... – wykrzyknął wreszcie stary, obejrzawszy krowę. – Trzysta złotych, jak w błoto! Do miski to ścierwów aż gęsto, a przypilnować nie ma kto. Taka krowa, taka krowa! A to człowiek ruszyć się z domu nie może, bo zaraz szkoda i upadek...

– Dyc ja od południa samego byłam przy kopaniu – tłumaczyła się cicho Hanka.

– A bo ty co kiej widzisz! – krzyknął z wściekłością. – A bo ty stoisz o moje!... Taka krowa, taki haman<sup>11</sup>, że i drugiej nie w każdym dworze by znalazł!

Wyrzekał coraz żałośniej i obchodził ją, próbował podnieść, ciągał za ogon, zaglądał w zęby, ale krowa dyszała chrapliwie i coraz ciężiej, krew przestała płynąć, tylko krzepła w czarne, spieczone żuźle – wyraźnie już zdychała.

– Nie ma co, ino ją trza dorznać, choć tyła się wróci! – rzekł w końcu, przyniósł kosę ze stodoły, poostrzył ją nieco na taczalniku<sup>12</sup>, co stał pod okapem obory, rozdział się ze spencerka, zawinął rękawy koszuli i zabrał się do zarzynania...

Hanka z Józią buchnęły płaczem, bo granula, jakby czując śmierć, uniosła z trudem łeb, zaryczała głucho i... padła z przerzniętym gardłem, grzebiąc ino nogami...

Pies zlizywał krzepnącą na powietrzu krew, a potem skoczył na doły od kartofli i szcekał na konie stojące z wozem w opłotkach, bo tam je zostawił Antek, a sam spokojnie przyglądał się jatce.

<sup>10</sup> *paskudnik* – ludowa nazwa choroby bydła, rodzaj odmy.

<sup>11</sup> *haman* – olbrzym, potwór.

<sup>12</sup> *taczalnik* – przyrząd do ostrzenia noży, sierpów.



– Nie bucz, głupia! Ojcowa krowa to nie nasza strata! – powiedział ze złością do żony i zabrał się do wyprzęgania i rozbierania koni, które już Witek ciągnął za grzywy do stajni.

– Ziemniaków w polu dużo? – zagadnął Boryna, myjąc pod studnią ręce.

– A bogać tam mało, będzie ze dwadzieścia worków.

– Trzeba dzisiaj zwieźć.

– Hale, zwoźcie se sami, ja już kulasów nie czuję ni krzyża... a i licowy<sup>13</sup> kuleje na przednią.

– Józka, zwołaj no Kubę od kopania, niech żróbkę założy za licowego i trza dzisiaj zwieźć. – Deszcz ano być może.

Ale wrzał złością i zmartwieniem, bo coraz to przystawał przed krową i kłął siarczyście, a potem łąził po podwórzu i zaglądał to do obory, to do stodoły, to pod szopę i sam nie wiedział, czego szuka, żarła go ano taka strata.

– Witek! Witek! – jął wołać i odpinał szeroki ramię z bioder, ale chłopak się nie pokazał.

Ludzie się porozchodzili, bo rozumieli, że taka szkoda i taka markotność musi się skończyć bitką, jako że do niej Boryna był skory zazwyczaj, ale stary kłął tylko dzisiaj i poszedł do izby.

– Hanka, a daj no jeść! – krzyknął na synową w otwarte okno i poszedł na swoją stronę.

Dom był zwykły, kmiący – przedzielony na przestrzał sienią ogromną; szczytem wychodził na podwórze, a frontem czterookiennym na sad i na drogę.

Jedną połowę od ogrodu zajmował Boryna z Józją, a na drugiej siedzieli Antkowie. Parobek z pastuchem sypiali przy koniach.

W izbie było już czarniawo, bo przez małe okienka, przysłonięte okapem i zagajone drzewami, mało przeciskało się światła, a i mroczalo już na świecie, że tylko połyskiwały szkła obrazów świętych, co rzędem czerniły się na bielonych ścianach; izba była duża, ale przygnieciona czarnym pułapem i ogromnymi belkami pod nim, i tak zastawiona różnym sprzętem, że tylko koło wielkiego komina z okapem, co stał przy siennej ścianie, było nieco swobodnego miejsca.

Boryna się rozżuł i poszedł do ciemnego alkierza, zamykając drzwi za sobą, odsunął z małej szybki deskę, że zachodnie światło krwawym brzaskiem zalało alkierz.

Izdebka pełna była różnych rupieci i statków gospodarskich, na drążkach, w poprzek przewieszonych, wisały kożuchy, czerwone pasiaste wełniaki, białe sukmany, to całe pęki motków szarej przędzy i zwinięte w kłęby, brudne runa owiec, i worki z pierzem. Wyciągnął białą sukmanę i pas czerwony, a potem długo czegoś szukał w beczkach napełnionych zbożem, to w kącie pod stosem starych rzemieni i żelastwa, aż usłyszawszy Hankę w pierwszej izbie, zaciągnął deskę na okienko i znowu coś długo grzebał w zbożu.

A na ławie pod oknem już się dymiło jadło; od ogromnego tygla z kapustą rozchodził się zapach słoniny, jak i od jajecznic, której niezgorsza miseczka stała obok.

<sup>13</sup> *licowy* – koń idący w parze po lewej stronie.



– Gdzie Witek pasł krowy? – zapytał, krając potężny glon<sup>14</sup> chleba z bochna jak przetak wielkiego.

– Na dworskich zagajach i borowy go stamtąd wygonił.

– Ścierwy, zmarnowali mi bydłę.

– Przeciech, tylo krowa, to się zlachala w tym gonieniu, że się w niej cosik zapaliło.

– Dziadaki, psiekrwie. Paśniki są nasze, w tabeli stoi kiej wół, a one ciągiem wyganają i pedają, co ich.

– Drugich też powyganiali, a chłopaka Walkowego tak zbił, tak zbił...

– Ha! do sądu trza abo i do komisarza. Trzysta złotych warta, jak nic.

– Pewnie, pewnie – przytakiwała rada niezmiernie, że ociec się udobruchali.

– Powiedzcie Antkowi, że skoro ziemniaki zwiezą, to niech się wezmą do krowy, trza ją obłupić i poćwiertować. Przyndę od wójta, to wama pomogę. W sąsiek u belki ją powiesić – będzie przespiecznie ode psów lebo jenszej gadziny...

Skończył wrychle jeść i wstał, bych się nieco przyogarnąć, ale takie ociążenie poczuł w sobie, takie ciągotki w kościach, taką senność, że jak stał, rzucił się na łóżko, by się z pacierz przedrzymać.

Hanka poszła na swoją stronę i krzątała się po izbie, i coraz to wychylała się przez okno spojrzeć na Antka, który pożywiał się na ganku, przed domem; odsadził się od miski obyčajnie i z wolna ciągnął łyżkę za łyżką, skrzybiąc mocno o wręby i spozierając czasami przed się na staw – bo zachód już był i na wodzie czyniły się złotopurpurowe tęcze i płomienne koliska, przez które niby białe chmurki przepływały z gęgotem gęsi, rozlewając dziobami sznury krwawych pereł.

Wieś zaczynała się mrowić i wrzeć ruchem; na drodze z obu stron stawu, ciągle podnosiły się kurzawy i turkoty wozów, i porykiwania krów, które wchodziły do stawu po kolana, piły wolno i podnosiły ciężkie łby, aż cienkie strugi wody, niby bicze opali, opadały im z szerokich gębul.

Gdzieś, od drugiego końca stawu, słyhać było trzask kijanek bab piorących i głuchy, monotonny łopot cepów w jakiejś stodole.

– Antek, urąb no pieńków, bo sama nie poradzę – prosiła nieśmiało i z obawą, bo nic to nie było u niego skłąć abo i zbić z leda powodu.

Nie odrzekł nawet, jakby nie słyshał, że ona nie śmiała powtórzyć i już sama poszła udziabywać trzaski z pni – i milczał zły, zmęczony całodzienną pracą srodze, i patrzył teraz na staw, na drugą stronę, w duży dom, świecący białymi ścianami i szybami okien, bo zachód bił w niego. Pęki czerwonych georginii wychylały się zza kamiennego płotu i paliły jaskrawo na tle ścian, a przed chałupą, w sadzie, to między opłotkami uwijała się wysoka postać – ale twarzy rozeznac nie można było, bo co chwila ginęła w sieni, to pod drzewami.

– Śpią se kiej dziedzic, a ty, parobku, rób – mruknął ze złością, bo ojcowe chrapanie rozlegało się aż na ganku.

Poszedł na podwórze i raz jeszcze przyjrzał się krowie.

<sup>14</sup> glon – kawał.



– Juścik, ojcowa krowa, ale i nasza strata – rzekł do żony, która, że to Kuba przywiózł ziemniaki z pola, rzuciła łupanie drzewa i szła do woza.

– Doły jeszcze nie wyporządzone, to trza zesuć na klepisko.

– Kiej ociec mówili, żebyś na klepisku krowę z Kubą obdarł i wyporządził.

– Zmieści się i krowa, zmieszczą się i ziemniaki – szeptał Kuba, otwierając wierzeje stodoły na roścież.

– Ja ta nie jestem drzyk, cobym krowę obłupiał ze skóry – rzucił Antek.

I już nie mówili, słychać było tylko gruchot zsypywanych na klepisko ziemniaków.

Słońce zgasło, wieczór się robił, świeciły jeszcze zorze łunami zakrzepłej krwi i osty-głego złota i posypywały na staw jakby pyłem miedzianym, że wody ciche drgały rdzawą łuską i szmerem sennym.

Wieś zapadała w mrokach i w głęboką, martwą ciszę jesiennego wieczora. Chałupy małały, jakby się przypłaszczwały do ziemi, jakby się tuliły do drzew sennie pochylnych, do płotów szarych.

Antek z Kubą zwozili ziemniaki, a Hanka z Józią uwijały się koło gospodarstwa, bo gęsi trza było zagnać na noc, to świni nakarmić, bo z kwikiem cisnęły się do sieni i wsadzaly żarłoczne ryje do cebratek, gdzie stało picie dla bydła, to krowy wydoić, bo właśnie Witek przygnał resztę z pastwiska i zakładał im za drabiny po garści siana, żeby spokojniej stały przy dojeniu.

Jakoż Józia zabrała się doić pierwszą z brzegu, gdy Witek wylazł od żłobów i spytał cicho, trwożnie:

– Józia, a gospodarz źli?...

– O Jezu, spierą cię, chudziaku, spierą... tak pomstowali – odpowiedziała, wytykając ku światłu głowę i osłaniając ręką twarz, bo krowa chlastała ogonem, oganiając się od much.

– Ale... bom to winowaty... ale... borowy mię wygnał i jeszcze chciał kijem sprać, inom uciekł... a granula zarno się jęła pokładać, a porykiwać, a stękać, żem do chałupy przygnał...

Zamilkł, ale słychać było ciche, bolesne chlipanie i siurkanie nosem.

– Witek... a nie bucz kiej ciele, bo ci to pierwszyczna, że cię ociec spierą?...

– Juści, że nie pierwszyczna, ale zawdy tak się bojam... bo nijakiej wytrzymałości na bicie nie mam...

– Głupisz, parobek tyli, a boja się... już ja przełożę tatusiowi...

– Przełożysz, Józia? – zawołał radośnie – bo to borowy mię wygnał z krowami, bo...

– Przełożę, Witek, ino się już nie boja!...

– Kiej tak... to naści tego ptaka! – szepnął z radością i wyjął z zanadrza drewniane cudło. – Obacz ino, jak się sam rucha.

Postawił go na progu obory, nakręcił, i ptak zaczął się kiwać, podnosić nogi długie i spacerować...

– Bociek, Jezu, a dyc się rucha kiej żywy! – zawołała zdumiona, odstawiła szkopek, przykucnęła przed progiem i z najżywszą radością i zdumieniem patrzyła.

– Jezu! to z ciebie mechanik! I to się sam tak rucha, co?



– A sam, Józia, ino go kołeczkiem nakręcę, to już se spaceruje kiej dziedzić po obiedzie – o... – odwrócił go i ptak poważnie a śmiesznie zarazem podnosił długą szyję, podnosił nogi i szedł.

Zaczęli się śmiać serdecznie i bawić jego ruchami, tylko Józia czasami podnosiła oczy na chłopaka – podziw w nich był a zdumienie.

– Józia! – rozległ się głos Boryny sprzed chałupy.

– A czegoj?... – odrzyknęła.

– Chodzi ino.

– Kiej dojem krowy.

– Pilnuj tu, bo idę do wójta – powiedział, wsadzając głowę do ciemnej obory – nie ma tutaj tego znajdka, co?

– Witka?... ni, pojechał po ziemniaki z Antkiem, bo Kuba miał urznąć sieczki dla koni... – odpowiedziała prędko i trochę niespokojnie, bo Witek przycupnął za nią ze strachu.

– Ścierwa ten chłopak, to ino pasy drzeć, żeby zmarnować taką krowę – mrucał powracając do izby, gdzie się odział w nową kapotę białą, wyszywaną na wszystkich szwach czarnymi tasiemkami, nadział wysoki czarny kapelusz, okręcił się czerwonym pasem i poszedł drogą nad stawem ku młynowi.

Roboty jeszcze tyła... zwózka drzewa... siew nie skończony\*... kapusta w polu... ściółka nie wygrabiona... podorać by trza na kartofle... dobrze by i pod owszy... a tu jedź na sądy... Laboga, że to człek nigdy obrobić się nie obrobi, ino ciągiem jak ten wół w jarzmie... że i wyspać się nie ma czasu ni odpocząć... – rozmyślał. – A tu i ten sąd... tłumok ścierwa, hale, ja z nią sypiałem... żebyś ozór straciła... lakudro jakaś... suka... – splunął ze złością, nabił fajeczkę machorką i długo pocierał zwilgotniałe zapałki o portki, nim zapalił.

Pykał od czasu do czasu i włócił się wolno; bolały go wszystkie kości i żale za krową raz wraz go markociły i rozbierały.

A tu ani odbić się na kim, ani wyzalić, nic... sam jak ten kołek; sam o wszystkim myśl, sam deliberyj łbem, sam kiele wszystkiego obiegaj kiej ten pies... a do nikogój słowa przemówić i rady znikąd ni pomocy – a ino strata i upadek... a wszystkie to kiej te wilki za owcą... a ino skubią, a patrzą, kiedy ozerwą w kawały...

Ciemnawo już było we wsi, przez przywierane drzwi i okna, że to wieczór był ciepły, buchały smugi ognisk i zapach gotowanych ziemniaków i żuru ze skwarkami; gdzieś niedzie jedli w sieniach albo i zgoła przed domami, że ino skrzybot łyżek słyszać było a pogadywania.

Boryna szedł coraz wolniej, bo ociążało go rozdrażnienie, a potem przypomnienie nieboszczki, co ją na zwieszę był pochował, ułapiło go za grdykę...

– Ho! ho!... przy niej, co ją wspominam wieczorem w dobry sposób, nie przygodziłoby się tak granuli... gospodyni to była, gospodyni!... Juści, że i mamrot, i przekłętica też, że i dobrego słowa nikomu dać nie dała i ciągiem się z babami za łby wodziła... ale zawždy

\* Pozostawiono oryginalną pisownię imiesłowów (dop. red.)



żona i gospodyni! – Tu westchnął pobożnie na jej intencję, i żal go jeszcze większy dusił, bo przypominał, jak to bywało...

Przyszedł z roboty, spracowany – to i jeść tłusto dała, i często gęsto kielbasy podtykała kryjomo przed dzieciskami... A jak się wszystko darzyło!... i cielaki, i gąski, i prosiaki... że co jarmarek było z czem jeździć do miasta i grosz był zawsze gotowy, na zakład z samego przychówku... A już co kapusty z grochem, to już jensza zgoła tak nie potrafi...

A teraz co?...

Antek ino na swoją stronę ciągnie, kowal też wypatruje, aby co chyć, a Józka? Skrzat głupi, któremu plewy jeszcze we łbie, co i nie dziwota, bo dzieusze mało co na dziesiąty rok idzie... Hanka kiej ta ćma łązi, a choruje jeno, i tyle robi, co ten pies zapłacze...

Toć i marnieje wszystko... granule trza było dorznać... we żniwa wieprzak zdechł... wrony gąski tak przebrały, że z połowa ostała!... Tyle marnacji, tyle upadku!... Przez sito wszyćko leci, przez sito...

– Ale nie dam! – wykrzyknął prawie głośno – póki rucham tymi kulasami, to ani jednej morgi nie odpiszę i do waju na wycug nie pójde...

Ino Grzela z wojska do dom powróci, to niechta se Antek na żoniną gospodarkę wróci... nie dam...

– Niech będzie pochwalony! – zabrzmiał jakiś głos.

– Na wieki!... – odrzucił machinalnie i skręcił z drogi w szerokie i długie opłotki, bo wójtowa osada leżała trochę w głębi.

W oknach się świeciło i pieski ujadać poczęły.

Wszedł prosto do świetlicy.

– Wójt doma? – zapytał tłustej kobiety, klęczącej przy kołysce i karmiącej dziecko.

– Zarno wróć, pojechał po ziemniaki. Siadajcie, Macieju, a dyć i ci też czekają na niego – wskazała ruchem brody na dziada siedzącego przy kominie; był to ten stary ślepiec, wodzony przez psa; czerwone światło szczap ostro opływało jego ogromną, wygoloną twarz, łsą czaszkę i szeroko otwarte oczy, zasnutę bielmem, nieruchomo tkwiące pod siwymi, krzaczastymi brwiami...

– Skąd to Pan Bóg prowadzi? – zapytał Boryna, siadając po drugiej stronie ognia.

– Ze świata, a skądżeby, gospodarzu? – odpowiadał wolno rozlazłym, jęczącym, iście proszalnym głosem i nadstawiał pilnie uszów, a wyciągnął tabakierkę.

– Zażyjcie, gospodarzu.

Maciej zażył rzetelnie i kichnął raz po raz trzy razy, aż mu lzy w oczach stanęły.

– Tęga jucha! – i rękawem tarł zażawione oczy.

– Niech wam będzie na zdrowie. Peterburka, dobrze ano robi na oczy.

– Wstąpcie jutro do mnie, krowem dorznął, to się tam jaka sztuczka la was znaleźć znajdzie.

– Bóg zapłać... Boryna, widzi mi się, co?...

– A juści, żeście to rozeznali?... no, no.

– Po głosie ino, po gadaniu.

– Cóż ta we świecie słytać? Wędrujecie ciągiem?



– Moiściewy, a cóż by! – A to źle, a to i dobrze, a to i różnie, jak we świecie. A wszyscy piszczą, a narzekają, jak przyjdzie dziadowi co dać abo i drugiemu, ale na gorzałę mają.

– Prawdę rzekliście, bo ano tak i jest.

– Ho, ho! tyle roków się człek telepie po tej świętej ziemi, to się i wie różnie.

– A gdzieście to podzieli tego znaję, co was prowadzał łoni? – zapytała wójtowa.

– Poszedł se ścierwa, poszedł, wyłuskał on mi dobrze torbeczki... Miałem coś grosza od ludzi ochfiarnych, com go niósł na wotywy do Częstochowskiej Panienci, to mi jucha podebrał i poszedł we świat! Cichoj, Burek! bo to pewnikiem wójt! – pociągnął sznurkiem i pies warczeć przestał.

Zgadł, bo wójt wszedł, bat rzucił w kąt i od progu wołał:

– Żono, jeść, bom głodny kiej wilk – jak się macie, Macieju; a wy czego, dziadu?...

– Ja do was, Pietrze, wedle tej mojej sprawy, co ma być jutro.

– Ja zaś se poczekam, panie wójcie. Każecie w sieniach – dobrze i tam będzie, a ostawicie przy ogniu, że to stary jestem, ostanę, a dacie tę miseczkę ziemniaków abo i chleba skibkę, to pacierz za was zmówię jeden abo i drugi... jakbyście dali gotowy grosz abo i dziesiątkę...

– Siedźcie se, dostaniecie i kolację, a chcecie, to zanocujcie...

I wójt siadł do miski, okrytej parą świeżo utłuczonych ziemniaków i polanych obficie skwarkami, w drugiej donicy stało zsiadłe mleko.

– Siadajcie, Macieju, z nami, zjecie, co jest – zapraszała wójtowa, kładąc trzecią łyżkę.

– Bóg zapłać. Przyjechałem z boru, tom se już dobrze podjadł...

– Bierzcie się ano za łyżkę, nie zaszkodzi wam, teraz już wieczory długie...

– Długi pacierz i duża miska, jeszcze bez to niktoj nie pomarł – rzucił dziad.

Boryna wzdragał się, ale w końcu, że słonina mocno raziała mu nozdrza, przysiadł się do ławki i pojadał z wolna, delikatnie, jak obyczaj kazał.

A wójtowa raz wraz wstawiała i dokładała kartofli, to mleka przylewała. Dziadowski pies się kręcił i skamlał zdziebko do jadła.

– Cichoj, Burek, gospodarze ano jedzą... i ty dostaniesz, nie bój się... – uspokajał go dziad i wciągał nozdrzami smakowitą woń, a przygrzewał ręce przy ogniu.

– To Jewka was podobno zaskarzyła – zaczął wójt, podjadłszy nieco.

– A ona ci! Żem to jej zasług nie wypłacił! Zapłaciłem, jak Bóg w niebie, i jeschcem ponadto z dobrego serca księdzu za chrzciny dał worek owsa...

– Ona powie, że ten dzieciak to...

– W imię Ojca i Syna. Wściekła się czy co?

– Ho, ho, stary z was, a jeszcze majster! – Wójtowie poczęli się śmiać.

– Staremu prędzej się przytrafi, bo praktyk ci jest i znający! – szeptał dziad.

– Cygani jak ten pies, anim ją tknął. Jeszcze by, taki tłumok... taka pode płotem zdychała a skamlała, coby ją za samą warzę a kąt do spania wziąć, bo na zimę szło. Nie chciałem, ale nieboszka peda: „Weźmiem, przyda się w domu, co mamy przynajmować? będzie swoja pod ręką...”. Nie chciałem ja, jako że zimą roboty nijakiej, a jedna gęba więcej do miski. Ale nieboszka peda: „Nie turbuj się, umie pono wełniaki i płótno tkać,



zasadzę ją i niechta se ścibie, zawsze coś uścibie”. No i ostała, odpasła się ino i zarno się postarała o przychówek... A kto w spółce, to już różnie gadali...

– Ona skarży na was.

– Zakatrupię ścierwę, cygana pieskiego!

– Ale do sądu trza wam iść.

– Pójdę. Bóg zapłać, żeście mi powiedzieli, bo wiedziałem ino, że o zasługi – ale zapłaciłem, na co świadków mam! A pyskacz zapowietrzony, a dziadówka! Loboga, tyle umartwienia, że jaż chyba udziżyć nie udziżę – a to mi i krowa padła, że dorznąć musiałem, roboty nie pokończone, a tu człowiek sam kiej ten palec.

– U wdowca to kiej między wilkami owca – powiedział znowu dziad.

– O krowiem słyżał, mówili mi już na polu...

– To dworska sprawa, bo pono borowy wygnął z zagajów. Najlepsza krowa! Ze trzysta złotych wartała, zegnała się, bo ciężka była, zapaliły się w niej wątpia, żem dorznąć musiał... Ale dworowi tego nie daruję... Podam do sądu.

Ale wójt zaczął mu tłumaczyć i przekładać, żeby się wstrzymał, jako w pierwszej złości zawsze się źle radzi, bo stał za dworem, a w końcu, żeby zwrócić rozmowę w inną stronę, mrugnął na żonę i powiedział:

– Bobyście się, Macieju, ożenili i miałby kto gospodarstwa pilnować.

– Kpicie czy co?... A dyć na Zielną skończyłem pięćdziesiąt i osiem roków. Co wama też w głowie, jeszcze tamta dobrze nie ostygła...

– Weźcie kobitę do swego wieku, a zaraz się wam zgoi wszystko – dodała wójtowa i jęła sprzątać ze stołu.

– Dobra żona głowy mężowej korona – dorzucił dziad, obmacując miski, które przed nim postawiła wójtowa.

Żachnął się Boryna, ale zamedytował głęboko, że mu to samemu do głowy nie przyszło. Boć jaka się tam kobieta nadarzy, a zawsze z nią lepiej niżli samemu biedować...

– Która i głupia jest, i niemrawa, która znów kłótnica, która do chłopskich kołtunów sięgająca, która paparuch a latawiec po muzykach i karczmach, a zawsze chłopu z nią lepiej i wygodą – ciągnął dziad, pojadając.

– Dopiero by na wsi wydziwiali – powiedział Boryna.

– Hale – ludzie wama zwrócą krowę abo i co poradzą, abo i kiele gospodarstwa chodzić będą, abo się nad wami użalą – zagadła gorąco wójtowa.

– Albo i ciepłą pierzynę narządzą – zaśmiał się wójt. – A we wsi tyle jest dziewuch, że jak się idzie między chałupami, to bucha kiej z pieca.

– Ale, widzisz go, rozpustnik... czego mu się zachciewa...

– A Zośka Grzegorzowa na ten przykład, śmigła, piękna i wiano niezgorsze.

– A cóż to Maciejowi potrza wiana, nie gospodarz to pierwszy we wsi?

– Kto by ta miał dobra a i grontu dosyć – zaoponował dziad.

– Ni, Grzegorzowa nie la nich – podjął wójt – za mdła i młódka to jeszcze.

– A Jędrkowa Kasia? – wyliczała dalej wójtowa.

– Zmówiona. Wczoraj Rochów Adam posyłał z wódką.

– Jest ci jeszcze Stachowa Weronka.



– Mamrot, latawiec i jedno biedro ma grubsze.  
– A wdowa po Tomku, jakże to jej?... całkiem jeszcze do żeniaczki...  
– Troje dzieci, cztery morgi, dwa krowie ogony i stary kozuch po nieboszczyku.  
– A Uliśia tego Wojtka, co to za kościołem siedzi?...  
– I... to la kawalera... z przychowkiem, chłopak mógłby już być do pasionki, ale Maciejowi tego nie potrza, ma już pastucha swojego.  
– Jest ci jeszcze, jest tego nasienia pannowego, ale ino wybieram takie, co by pasowały la Macieja.

– A zabaczyłaś o jednej, co by była la nich w sam raz.  
– Którna?...  
– A Jagna Dominikowa?  
– Prawda, całkiem o niej przepomniałam.  
– Sielna dziewucha, a rosła, że bez płot nie przejdzie, bo źerdki pod nią pękają... a piękna, biała na gębie, a urodna kiej jałowica.  
– Jagna – powtórzył Boryna słuchający w milczeniu wyliczania – a to powiedają o niej, że łaśa na chłopaków.

– Ale, był to kto przy tym, to wie! Pleciuchy pletą, byle pleść, a wszystko ino przez zazdrość – bronila mocno wójtowa.

– Ja też nie powiedam sam z siebie, ino tak pogadują. Ale trza mi iść – poprawił pasa, wraził węgielek we fajkę i pyknął parę razy.

– Na którą to w sądzie? – zapytał spokojnie.  
– Na dziewiątą napisane w powiestce. Musicie do dnia wstać, jeśli na piechty.  
– I... żróbką se wolno pojadę. Ostańcie z Bogiem, dziękuję wama za pożywienie i somszedzką radę.

– Idźcie z Bogiem, a pomyślcie, cośwa wama raili... Powiecie, to z wódką pójde do pani matki i jeszcze przed Godami sprawim wesele...

Boryna nie odrzekł nic, łypnął ino oczami i wyszedł.

– Jak stary młódkę bierze, diabeł się cieszy, bo profit z tego miał będzie – rzekł dziad poważnie, skrobiąc głośno po dnie miski.

Boryna wolno wracał i żuł w sobie rozważnie, co mu raili. Nie dał poznać po sobie tam u wójtów, że mu się ta myśl strasznie udała, bo jakże, gospodarz był, a nie żaden chłopak, co to ma jeszcze mleko pod nosem, a na wspominek o żeniaczce aż kwiczy i z nogi na nogę przedeptuje.

Noc już ogarnęła ziemię, gwiazdy srebrną rosą pobłyskiwały z ciemnych, głuchych głębin, cicho było we wsi, psy tylko niekiedy poszczekiwały, a tu i ówdzie spoza drzew mżyły się słabe światelka... czasem wilgotny podmuch zawiął z łąk, że drzewa poczęły się lekko chybotać i z cicha poszmerywać listkami.

Boryna nie wrócił drogą, jaką był przyszedł, a tylko puścił się w dół, przeszedł most, pod którym woda z bełkotem przelewała się do rzeki i waliła głucho na młyn, i nawrócił na drugą stronę stawu – wody leżały ciche i lśniły się czarniawo, pobrzeżne drzewa rzuciły na taflę czarne cienie i jakby ramą obejmowały brzegi, a w pośrodku stawu, gdzie jaśniej było, odbijały się gwiazdy niby w zwierciadle stalowym.



Maciej sam nie wiedział, dlaczego nie poszedł prosto do domu, a wybrał dłuższą drogę, może aby przejść koło domu Jagny? a może aby zebrać nieco myśli i pomedytować.

– Juści, że byłoby niezgorzej! juści! A co tam o niej mówią, to taka prawda. – Splunął. – Sielna kobieta! – Dreszcz nim wstrząsnął, bo i chłód wilgotny szedł od stawów, a u wójtów gorąc był silny.

– A bez kobiety trza zmarnieć abo dzieciom gospodarkę odpisać – myślał – a duża jucha i kiej malowana. – A krowa najlepsza padła, a kto wie jutra?... Może to i trza poszukać żony? Tyle obleczenia po nieboszce jest – przygodziłoby się. Ale stara Dominikowa to pies... a cóż, mają chałupę i gront, toby na swoim ostała. Troje ich, a mają piętnaście morgów, to niby na Jagnę pięć i splata za chałupę i lewentarz! Pięć morgów to rychtyk te pola za mojem kartofliskiem, żyto, widzi mi się, posiały latoś, tak... Pięć morgów do moich to... trzydzieści i pięć bez mała! Karwas pola!...

Zataił ręce i poprawił pasa. – To ino młynarz ma więcej... złodziej, krzywdą ludzką a procentami, a oszukaństwem tyła nabrał... A na bezrok podwiózłbym gnoju, a uprawił i pszenicy posiał na całym kawale; konia by trzeba przykupić, a i po granuli krowinę jaką... Prawda, krowę by dostać dostała...

I tak rozmyślał, liczył, rozmarzał się gospodarsko, aż czasem i przystawał z ciężkiej delibercacji. A że mądry chłop był, to wszystko zasię zbierał w sobie i głęboko w głowę patrzył, coby czego nie prześlepic i nie przepomnieć.

– Wrzszczałyby juchy, wrzszczały! – pomyślał o dzieciach, ale wnet fala mocy i pewności załała mu serce i skrzepiła głuche jeszcze, wahające postanowienia.

– Gront mój, wara komu drugiemu do niego. A nie chceta, to... – nie skończył, bo stanął przed chałupą Jagny.

Świeciło się u nich jeszcze i przez otwarte okno padała szeroka smuga światła i szła przez kierz georginiowy i niskie drzewa śliwkowe aż na płot i drogę.

Boryna stanął w cieniu i zapuścił wzrok w izbę.

Lampka tliła się nad okapem, ale w kominie musiał się buzować tęgi ogień, bo słychać było trzask świerczyny i czerwonawe światło zapełniało ogromną, mroczną po kątach izbę; stara, skulona przed kominem, czytała cosik głośno, a Jagna przeciw niej twarzą do okna siedziała; w koszuli była tylko i z podwiniętymi do ramion rękawami – podskubywała gęs.

– Urodna jucha, to urodna! – myślał.

Podnosiła czasem głowę, nasłuchiwała matki, wzdychała ciężko, to znowu brała się skubać pióra, aż gęś zagęgała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk, i bić skrzydłami, że puch się rozwiął po izbie białym tumanem. Uspokoila ją rychło i mocno ścisnęła kolanami, że gęś jeno pogęgiwała z cicha a boleśnie, i odpowiadały jej inne gdzieś z sieni czy z podwórza.

– Piękna kobieta – pomyślał i odszedł śpiesznie, bo mu uderzyło do głowy, aż się podrapał, zapiął pętlę i pasa przyciągnął.

Już był w swoich wrotach i wchodził w opłotki, gdy się obejrzał na jej dom, bo rychtyk stał naprzeciw, tyło że po tamtej stronie wody. Ktoś akuratnie wychodził, bo przez drzwi uchylone lunęła struga światła i jak błyskawica zamigotała i padła aż na staw, potem czyjes



mocne stąpania zadudniły, i rozległ się chlupot wody nabieranej, a w końcu wskroś ciemni i mgieł, co się były zwlekały z łąk, śpiew się ozwał przyciszony:

*Ja za wodą, ty za wodą,  
Jakże ja ci buzi podom?...  
Podam ci ją na listeczku,  
A naści-że, kochaneczku...*

Słuchał długo, ale głos rychło przepadł i światła wkrótce pogasły.

Na niebo wtaczał się zza lasów księżyc w pełni i rozsrebrał czuby drzew, i siał przez gałęzie światło na staw, i zaglądał w okna chat, co mu były naprzeciw. Psi nawet pomilkli, cichość niezgłębiona objęła wieś całą i stworzenie wszelkie.

Boryna obszedł podwórze, zajrzał do koni, parskały i gryzły obroki; wsadził głowę do obory, bo drzwi dla gorąca stały otworem. Krowy leżały przeżuując a postępując, jako to jest zwyczajnie u bydłatek. Przywarł wrota do stodoły.

Zdjąwszy kapelusz szedł do izby i mówił półgłosem pacierz.

A że spali już wszyscy, rozzuł się po cichu i zaraz legł spać.

Ale zasnąć nie mógł, to pierzyna go parzyła, że nogi spod niej wysuwał, to mu po głowie chodziły sprawy różne, a turbacje, a pomyslenia... to mu brzuch ano ciężył srodze, że postękiwał i mruczał.

– Zawždy mówię, że zsiadłe mleko ino rozpiera brzuch, coby na noc nie dawać...

A potem jął myśleć o Jagnie; jak by to dobrze było, bo i urodna, i gospodarna, i tyle pola... To znowu przypominał sobie dzieci, to te gadania na Jagnę, że mąciło się w nim wszelakie rozeznanie, i już nie wiedział, co począć, że uniośł się nieco, i jak to było zwyczajnie, chciało mu się do drugiego łóżka zawołać i poradzić:

– Maryś! Żenić się czy to się nie żenić z Jagną?...

Ale w czas sobie przypomniał, że Maryś już od zwiesny na cmentarzu, a tam se śpi Józka i chrapie, a on jest sierotą, która poradzić się nikogo nie ma; to ino westchnął ciężko, przeżegnał się i jął mówić zdrowaśki za nieboszczkę i wszystkie dusze w czyścću ostające.

### III



uż świt ubielił dachy i zgrzebną, szarą płachtą przysłonił noc i gwiazdy poblądle, gdy ruch się uczynił w Borynowym obejściu.

Kuba zwlókł się z wyrka i wyjrzał przed stajnię – szron leżał na ziemi i szaro było jeszcze, ale już zorze rozpałały się na wschodniej stronie i czerwieniły czuby drzew oszroniałych – przeciągnął się z lubością, ziewnął parę razy i poszedł do obory, aby krzyknąć na Witka, że czas wstawać, ale chłopak uniośł nieco senną głowę i szepnął:

– Zaraz, Kuba, zaraz! – i przytulał się do legowiska.



– Pośpij se zdziebko, biedoto, pośpij! – Przyokrył go kożuchem i pokuszytał, bo że nogę miał kiedyś przestrzeloną w kolanie, kulał srodze i ciągnął ją za sobą; umył się pod studnią, przygładził dłonią rzadkie, wyleniałe włosy, co mu się były pozwijały w kołtuny, i klęknął na progu stajni odmawiać pacierze.

Gospodarz spali jeszcze, w oknach chałupy zapalały się krwawe brzaski zórz, a gęste, białe mgły zwlekały się z wolna ze stawów, kołysały ciężko i posuwały w górę podartymi szmatami.

Kuba przesuwał w palcach koronkę i modlił się długo, a biegał oczami po podwórzu, po oknach chałupy, po sadzie omroczonym jeszcze na dole, po jabłonkach, obwieszonych jabłkami niby pięćcie; rzucił czymś do budy, koło drzwi, w biały łeb Łapy, aż pies zawarczał, zwinął się i spał dalej.

– Ale, do samego słońca spał będziesz, jucho! – i rzucił w niego raz, drugi, że pies wylazł, przeciągał się, ziewał, machał ogonem, przysiadł wpodłe i jął się drapać i czynić zębami w gęstych kudłach porządek.

...I ochfiaruję ten pacierz Tobie i wszystkim świętym. Amen! – Bił się długo w piersi, a powstając, rzekł do Łapy:

– Hale! aligant jucha, wybiera se pchły kiej baba na wesele!

A że robotny był, to się zajął obrządkiem – wóz wytoczył ze stodoły i nasmarował, napoił konie i przyłożył im siana, aż parskać zaczęły i bić kopytami, a potem przyniósł z sąsiedka nieco zgonin<sup>15</sup>, dobrze okraszonych owsem, i wsypał to kłaczy do żłobu, bo stała w gródce, osobno:

– Żrej, stara, żrej; żróbka mieć będziesz, to ci mocy trza, żrej! – Pogładził ją po nozdrzach, aż kłacz położyła mu łeb na ramieniu i pieszczotliwie chwytła wargami za kołtuny.

– ...Ziemniaki do południa zwieziemy, a pod wieczór do lasu, po ściółkę – nie bój się, ściółka letka, nie zgonię cię...

– A ty, wałkoniu, batem dostaniesz, widzisz go, owies mu pachnie, próżniakowi – mówił do wałacha, co stał obok i łeb wtykał między deski przegrody, do żłobu kłaczy – grzmotnął go pięścią w zad, aż koń uskoczył w bok i zarżał.

– Hale, parob żydowski! Żreć to byś choć i czysty owies żarł, a do roboty cię nie ma, bez bata, jucho, z miejsca nie ruszysz, co?

Wyminął go i zajrzał do żróbki, co stała przy ścianie samej i już z daleka wyciągała do niego kasztanowaty łeb ze strzałką białą na czole i rżała cicho.

– Cichoj, mała, cichoj! Podjedz se ano, bo pojedziesz z gospodarzem do miasta! – Uwił kłak siana i wyczyścił jej bok zawałany. – Tyla kłacz, że już do ogiera czas, a świniąś. Utytlesz się zawdy kiej maciora – pogadywał wciąż i poszedł do chlewów wypuścić świnię, bo kwiczały, a Łapa chodził za nim i zagładał mu w oczy.

– Zjadłbyś i ty, co? To naści-że chlebaszka, naści! – Wyjął zza pazuchy kawałek i rzucił, pies pochwycił i schował się do budy, bo świnię ano leciały mu wydrzeć.

– Hale, te swynie to kiej człowiek niektóry, aby ino chycić cudze i zechlać...

Zajrzał do stodoły i długo patrzył na wiszącą u belki krowę.

<sup>15</sup> zgoniny – kłosy i grubsze plewy powstający przy wianiu zboża po omłotach.



– Głupie to jeno bydle, a i temu na koniec przyszło. Widzi mi się, co jutro zgotują mięsa... Tyle i z ciebie, biedoto, że człek se podje w niedzielę...

Westchnął do tego jadła i powlókł się budzić Witka...

– Słońce ino, ino – zarno się pokaże... Krowy trza wypędzać.

Witek mamrotał coś, bronił się, przykładał do kozucha, ale w końcu wstał i łaźni ocieęły i senny po podwórzu.

Gospodarz zaspali dzisiaj, bo słońce już weszło i rozczzerwieniło szrony, i zapaliło łuny w wodach i szybach, a z chałupy nikt się nie pokazywał...

Witek siedział na progu obory i podrapował się zajadle, i przeziwał, a że wróble poczęły zlatywać z dachów do studni i trzepać się w korycie, to przyniósł drabkę i wlaź pod okap zajrzeć do gniazd jaskółczych, bo cicho tam jakoś było.

– Pomarżły czy co?

I jął wyciągać delikatnie pomorzone ptaszki i kłaść je za pazuchę.

– Kuba, wiecie, nie żyją, o! – Pobiegł do parobka i pokazywał sztywne, pogasłe jaskółki. Ale Kuba wziął ino w rękę, przyłożył do ucha, dmuchnął w oczy i rzekł:

– Zdrętwiały, bo przymrozek galanty. Ale że to głupie nie poszły jeszcze do ciepłych krajów, no, no... – poszedł do swojej roboty.

A Witek siadł pod chałupą, w szczycie, bo słońce już tam dochodziło i oblewało bielone ściany, po których i muchy łaźić poczynąły; wyciągał zza koszuli te, które już ogrzane nieco jego ciałem, gmeraly się trochę, chuchał na nie, rozdziawiał im dziobki, poił z ust własnych – aż ożywiały się, otwierały oczy i poczynąły wydzierać się do ucieczki; wtedy prawą ręką czaił się po ścianie i raz wraz zagarnął jaką muchę, nakarmił nią i puszczał.

– Lećta se do matuli, lećta – szeptał, patrząc jak jaskółki siadały na kalenicy obory, cze-sały się dziobkami i szczebiały jakby dziękczynienia.

A Łapa siedział przed nim na zadzie i skomlał ucieszenie, a co który ptaszek wyfruwał, rzucał się za nim, biegł kilka kroków i zawracał z powrotem stróżować.

– Ale, złap wiater w polu – mrucał Witek i tak się zatopił w rozgrzewaniu jaskółek, że ani widział, kiedy Boryna wyszedł z za węgła i stanął przed nim.

– Ptazkami się, ścierwo, zabawiasz, co?

Porwał się, by uciekać, ale już gospodarz chycił go krótko za kark i drugą ręką szybko odpasywał szeroki, twardy pas rzemienny.

– A dyc nie bijcie, a dyc! – zdążył krzyknąć jeno.

– Takiś to pastuch, co? Tak to pilnujesz, co? Najlepsza krowa się zmarnowała, co?... Ty znajdku, ty pokrako warsiaska! Ty! – I bił zapamiętane, gdzie popadło, aż rzemień świsz-czał, a chłopak wił się kiej piskorz i wrzeszczał:

– Nie bijta! Loboga! Zabije mię! Gospodarzu!... O Jezu, ratujta!...

Aż Hanka wyjrzała z chałupy, co się dzieje, a Kuba splunął i schował się do stajni.

A Boryna łoił go rzetelnie, wybijał mu na skórze swoją stratę tak zajadle, że Witek miał już gębę posinioną i z nosa puściła mu się krew, krzyczał wniebogłosy i cudem jakimś się wyrwał, chwycił się obu rękami z tyłu za portki i gnał w opłotki.

– Jezu, zabili mę, zabili mę! – ryczał i tak pędził, aż mu reszta jaskółek wylatywała z za pazuchy i rozsypywała się po drodze.





Boryna pogroził jeszcze za nim, opasał się i wrócił do chałupy, i zajrzał na Antkową stronę.

– Słońce już na dwa chłopa, a ty się jeszcze wylegujesz! – krzyknął do syna.

– Zmogłem się wczoraj kiej bydlę, to muszę się wywczasować.

– Do sądu pojedę... Zwieź ziemniaki, a jak ludzie skończą kopanie, to zagnać je do grabienia ściółki, a ty mógłbyś kołki pozabijać do ogacenia.

– Ogaćcie se sami chałupę, nama tutaj nie wieje.

– Rzekłeś... to swoją stronę ogacę, a ty marznij, kiejś wałkoń.

Trzasnął drzwiami i poszedł na swoją stronę.

Józka już rozpałała ogień i szła doić krowy.

– Rychło daj jeść, bo trza mi jechać...

– Przecięch się nie ozedrę, dwóch robót razem nie poradzę – i poszła.

– Spokojnego oczymgnienia nie ma, ino kłyżnij<sup>16</sup> się ze wszystkimi! – myślał i wziął się do obleczenia, ale zły był i zgryziony. Jakże, ciągła wojna z synem, słowa nie można rzec, bo zaraz do oczów z pazurami skacze albo rzeknie coś, co jaże we wątpiach poczujesz. Na nikogo się spuścić, ino haruj i haruj!

Złość w nim zbierała, aż poklinał z cicha i rzucał szmatami po izbie a butami.

– Słuchać się powinny, a nie słuchają! Czemu to? – myślał.

– Widzi mi się, co bez kijaszka z nimi obyc się nie obędzie, bez twardego! Dawno się im to należało, zaraz po śmierci nieboszczki, kiej kłyżnić się zaczęły o gronta, ale się jeszcze wagował, żeby zgorszenia we wsi nie czynić. Gospodarz był przeciech nie leda jaki, na trzydziestu morgach, i z rodu nie bele chto – Boryna, wiadomo. Ale dobrością z nimi się nie skończy, nie!... – Tu przyszedł mu na myśl zięć, kowal, któren wszystkich po cichu burzył, a i sam wciąż nastawał, żeby mu sześć morgów odpisać i morgę lasu – a już na resztę chciał poczekać...

– To niby kiej zamrę! Poczekaj, jucho, poczekaj – myślał ze złością. – Póki się ino rucham, nie powąchasz ty ani zagona! Widzisz go, mądrala!

Kartofle już mocno perkotały w kominie, gdy Józka przyszła od udoju i wnetki narzędzia śniadanie.

– Józka! A mięso sama przedawaj. Jutro niedziela, ludzie się już zwiedziały, to się ich tu naleci; ino nie borguj nikomu. Pośladek ostaw la nas; zawoła się Jambroża, to zasoli i przyprawi...

– A dyć i kowal umieją...

– Ale, podzieliłby się kiej wilk z owcą.

– Magdzie będzie markotno, że to nasza krowa, a ona nawet nie obaczy.

– To la Magdy wytnij jaką sztuczkę i zanieś, ale kowała nie wołaj.

– Dobryście, tatułu, dobry.

– Hale, córuchno, hale! Pilnuj tutaj, a już ci bułeczkę przywiezę abo i co.

Podjadł se niezgorzej, opasał się pasem, przyglądał poślinioną dłonią zwichrzone i rzadkie włosy, ujął bat i jeszcze się rozglądał po izbie...

<sup>16</sup> kłyżnić – kłócić.

– Bym czego nie przepomniał. – Chciało mu się zajrzeć do komory, ale się powstrzymał, bo Józka patrzyła, więc się przeżegnał i ruszył.

A już z wasągą, zbierając w garść parciane lejce, rzekł Józce na ganek: – Skończą ziemniaki, to zaraz iść grabić ściółkę, kwitek jest za obrazem. A niechta zetną jakiego grabka albo i chojkę – przyda się.

Wóz ruszył i już był w opłotkach, gdy Witek mignął pod jabłoniami.

– Zabaczyłem... prru... Witek! Prru! Witek, puść krowy na łąki, a pilnuj, bo cię, jucho, spierę, że popamiętasz.

– Ale, pocałujta mę gdzieś... – odkrzyknął hardo, znikając za stodołą.

– Będziesz tu pyskował, jak zleżę, to obaczysz...

Skręcił z opłotków na lewo, na drogę wiodącą ku kościołowi; podciął batem żróbkę, że podyrdała truchcikiem po wyboistej, pełnej kamieni drodze.

Słońce było już chyła tyła<sup>17</sup> nad chałupami i świeciło coraz cieplej, bo z oszroniałych strzech podnosiły się opary i woda skapywała, tylko w cieniach – pod płotami w sadach, po rowach, leżał jeszcze siwy mróz; po stawie wlekły się ostatnie zrzędłe mgły i woda poczyniała spod bielm wrzeć brzaskami i odbłyскиwać słońce.

We wsi poczynał się już zwykły ruch: poranek był jasny i chłodny, a że zaś przymrozek orzeźwił powietrze, to i raźniej się poruszali, i zgiełkliwiej; wychodzili gromadnie na pola, którzy do kopania szli z motyczkami a koszykami na ręku, dojadając śniadań; którzy z pługiem ciągnęli na ścierniska; którzy na wozach brony wieźli a worki pełne ziarna siewnego; którzy znów zasię wykręcali ku lasom z grabiami na ramionach, ściółkę grabić – że ino dudniło po obu stronach stawu i krzyk się wzmagał, bo drogi były zatłoczone bydłem ciągnącym na paszę, szczekaniem psów, pokrzykami, co wybuchały raz wraz z niskiej, ciężkiej kurzawy, jaka się była wznosiła z orosiałych dróg.

Boryna wymijał trzody ostrożnie, czasem śmignął po wełnie jakie jagniątko głupie, co się nie usuwało przed żrebicą, to cielę jakie, aż i wyminął wszystkich i koło kościoła, który stał osłonięty potężnym wałem lip żółknących i klonów, wjechał na szeroki gości-niec, obsadzony z obu stron ogromnymi topolami.

A że w kościele była msza święta, bo sygnaturka przedzwoiła ofiarę i huczały przyci-szonym głosem organy, zdjął kapelusz i westchnął pobożnie.

Droga była pusta i zasłana opadłym liściem tak obficie, że wyboje i głęboko powyrzy-nane koleiny pokryły się rdzawozłocistym kobiercem pociętym gęstymi pręgami cieniów, jakie rzucały pnie topoli, bo słońce z boku świeciło.

– Wio, maluśka, wio! – Świsnął batem i żrebrica przez kilka stajań<sup>18</sup> poszła raźniej, ale potem opadła i wlekła się wolno, bo droga, choć nieznacznie, szła pod wzgórze, na któ-rych czerniały lasy.

Boryna, że go ta cisza mroczyła sennością, to poglądał przez kolumnadę topoli na pola, pławiące się w różowym, porankowym świetle, albo myśleć usiłował o sprawie z Jewką, to o granuli – ale nie mógł sobie dać rady, tak go śpiak morzył...

<sup>17</sup> *chyła tyła* – trochę.

<sup>18</sup> *stajanie* – starop. miara długości, lokalnie różna, najczęściej 134 m.



Ptaszki ćwierkały w gałęziach, to czasem wiatr przegarnął leciuchnymi palcami po czubach drzew, że ino jaki taki listeczek, kieby motyl złoty, odrywał się od maci, spadał kolisto na drogę albo i na zakurzone osty, co zaognionymi oczami kwiatów hardo patrzyły w słońce – a topole zagwarzyły, poszemrały z cicha gałązkami i pomilkły – kiej te kumy, co na Podniesienie oczy podniesą, ręce rozłożą i westchną modlitewnie, a padną wnetki w proch przed Majestatem ukrytym w tej złotej monstrancji zawiesznej nad ziemią świętą, nad rodzoną...

Dopiero pod lasem przecknął na dobre i wstrzymał konia.

– Wschodzi niezgorzej – szepnął, przyjrzaawszy się pod światło szarym zagonom, ordzawionym krótką szczotką wschodzącego żyta.

– Kawał pola, a przyległo do mojego, kieby kto z umysłu narządził! Żyto! widzi mi się, wczoraj posiały. – Ogarnął pożądlwym spojrzeniem zbronowane zagony, westchnął i wjechał w las.

Poganiał często konia, bo droga szła po równym i twardsza była, tylko gęsto przerosnięta korzeniami, na których wóz podskakiwał i turkotał.

Ale już nie drzemał, owiany surowym i chłodnym dechem lasu.

Bór był ogromny, stary – stał zbitą gęstwą w majestacie wieku i siły, drzewo przy drzewie sama sosna prawie, a często dąb rosochaty i siwy ze starości, a czasem brzozy w białych koszulach, z rozplecionymi warkoczami żółtymi, że to jesień już była. Podlejsze krze, jako leszczyna, to karłowata grabina, to osiczyna drżąca – tuliły się do czerwonych, potężnych pni, tak zwartych koronami i poplątanych gałęziami, że ino gdzieniegdzie przedzierało się słońce i pęzało niby złote pająki po mchach zielonych i paprociach zrudziałych.

– Zawždy mojego tu są cztery morgi! – myślał i pożerał oczami las, i już na oko wybierał co najlepszy. – Przeciech Pan Jezus nie da nas ukrzywdzić – albo i same się nie damy, nie... Dworowi widzi się dużo, a nam mało. Zarno... moje ze cztery, a Jagusine z morga... cztery i jedna... Wio! głupia, sroków się będzie bojała! – Trzepnął ją batem, bo na suszce, co dźwigała Bożą Mękę, kłóciły się sroki tak zajadle, aż żrebica strzygła uszami i przystawała.

– Srokowe wesele – deszczu będzie wiele. – Przypiął parę batów żrebicy i jechał kłusem.

Dobrze było już po ósmej, bo ludzie na polach siadali do śniadaniowych dwojaków, gdy wjeżdżał do Tymowa, na puste uliczki, obstawione pozapadanymi domostwami, co przysiadły niby stare przekupki nad rynsztokami, pełnymi śmieci, kur, Żydziąt obdartych i nierogacizny.

Zaraz na wjeździe obstąpili go Żydzi i Żydówki i nuż zaglądać do wasągu, macać pod grochowinami, pod siedzeniem, czy nie wiezie czego na sprzedanie.

– Poszły, parchy! – mruknął, wjeżdżając na rynek, pod cień starych, poobdzieranych kasztanów, konających na środku placu, gdzie już stało kilkanaście wozów z wyprzęgniętymi końmi.

I swój wasąg tam umieścił, żrebicę wyłożył łbem do półkoszka, nasuł jej do kobiałki obroku, bat schował na dno, pod siedzenie, otrzepał się ze słomy i ruszył prosto do Mordki, tam gdzie błyszczały trzy mosiężne talerze, aby się nieco przygolić – wyszedł wkrótce



czysto ostrugany i tylko z jednym zacięciem na brodzie, zalepionym papierem, przez który sączyła się krew.

Sądy nie były jeszcze zaczęte.

Ale przed domem sądowym, co stał zaraz w rynku, naprzeciw ogromnego poklasztornego kościoła, czekało już sporo narodu. Siedzieli na wydeptanych stopniach, to kupili się pod oknami i raz wraz zaglądali do środka, kobiety zaś przykucnęły pod bielonymi ścianami, opuściły czerwone zapaski z głów na ramiona i rajcowały.

Boryna, że dojrzał Jewkę z dzieckiem na ręku, stojącą w gromadzie swoich świadków, to się zeżlił zarno, jako że skory był do złości, splunął i wszedł do sieni drugiej, biegnącej na przestrzał sądowego domostwa.

Po lewej stronie był sąd, a po prawej mieszkał sekretarz, bo jakoż właśnie Jacek wyniósł samowar przed sam próg i tak go rozdmuchiwał cholewą zawzięcie, że dymił niby komin fabryczny, a co chwila ostry, gniewny głos krzyczał z głębi zadymionej sieni:

– Jacek! buciki panienkom!

– Zaraz, zaraz!

Samowar już niby wulkan huczał i buchał płomieniami.

– Jacek! wodę panu do mycia.

– Dyc zara, zrobi się wszycko, zrobi! – I spocony, nieprzytomny, ganiał po sieni, aż dudniło, powracał, dmuchał i znowu leciał, bo pani krzyczała:

– Jacek! kulfonie jeden, gdzie moje pończochy?!...

– Ale! ścierwa, nie samowar!

Trwało to wszystko dobrych parę pacierzy, abo i z koronkę, aż wreszcie drzwi sądowe się otwały i naród począł napełniać dużą, wybieloną izbę.

Jacek, już teraz jako woźny, boso, w modrych portkach i takimże lejniku z mosiężnymi guzikami, z czerwoną, spoconą twarzą, którą raz wraz obcierał rękawem, uwijał się za czarnymi kratami, dzielącymi izbę na dwie połowy, i rzucał łbem niby koń, kiej go giez ukąsi, bo płowe włosy spadały mu grzywą na oczy, to zaglądał ostrożnie do sąsiedniej stancji i potem siadał na chwilę pod zielonym piecem.

A narodu się nawaliło, że ani palca wetknąć, i parli się coraz krzepiej na kraty, aż trzeszczały; gwar, zrazu cichy, podnosił się z wolna, szemrał, przewalał po izbie, huczał czasami, przechodził miejscami w kłótnię, że jakie takie mocne słowo padało coraz gęściej.

Żydzi szwargotali pod oknami, a jakieś baby na głos opowiadały swoje krzywdy i jeszcze głośniejsze popłakiwały, ale nie można było rozeznać, kto i gdzie, bo ciasnota była i głowa przy głowie, jako ten zagon pełen maków czerwonych i kłosów żytnich, co go ten wiaterek żenie, a on się zakolebie i gwarzy, i szumi, a potem staje równo kłos przy kłosie. To znowu Jewka, dojrawszy Borynę wspartego o kraty, jęła dogadywać i wykrzykiwać na niego, że zeżłony odrzekł ostro:

– Zamilknij, suko, bo ci gnatki porachuję, że rodzona nie pozna.

A na to Jewka rozsrożona nuż pazury wyciągać i drzeć się do niego przez gęstwę ludzką, aż jej chustka spadła z głowy i dzieciak się rozkrzyczał, że nie wiada, na czym by się skończyło, gdy naraz Jacek się zerwał, otworzył drzwi i krzyknął:

– Cichożta, ścierwy, bo ano sąd idzie!...



Jakoż i sąd wszedł; najpierw gruby, wysoki dziedzic z Raciborowic, a za nim dwóch ławników i sekretarz, który usiadł przy bocznym stoliku pod oknem i rozkładał papiery a patrzył na sędziów, jak stanęli przy wielkim stole, okrytym czerwonym suknem, i nałożyli złote łańcuchy na grube karki...

Cicho się zrobiło, że słychać było tych, co na ulicy pod oknami gwarzyli.

Dziedzic rozłożył papiery, chrząknął, spojrzął na sekretarza i grubym, donośnym głosem oznajmił, że sądy się rozpoczynają.

Potem sekretarz przeczytał sprawy na dzień dzisiejszy, coś szepnął pierwszemu ławnikowi, ten oddał to sędziemu, który kiwnął głową potakująco.

Sądy się rozpoczęły.

Pierwsza szła sprawa ze skargi strażnika na jakiegoś łyczka o nieporządku w podwórzu. Skazany zaocznie.

Potem o pobicie chłopaka za wypasanie końmi koniczyny.

Pogodzili się – matka dostała pięć rubli, a chłopak nowe portki i lejebik.

Sprawa o woranie się.

Odłożono z braku dowodów.

Sprawa o kradzież leśną w borze sędziego; stawał rządca – oskarżeni chłopci z Rokicin. Skazani na kary pieniężne lub odsiedzenie w areszcie po dwa tygodnie.

Nie przyjęli wyroku, pójdą do apelacji.

I tak głośno zaczęli wykrzykiwać na niesprawiedliwość, bo las był wspólny, serwitutowy, aż sędzia skinął na Jacka, i ten zagrzmiął:

– Cicho! cicho! bo tu sąd, nie karczma.

I tak szła sprawa za sprawą, kieby skiba za skibą, równo i dość spokojnie, czasem tylko podnosiły się skargi albo chlipanie, albo i przekleństwo, ale te Jacek wnet przyciszał.

Z izby ubyłoby nieco ludzi, ale w ich miejsce przybyło tyle nowych, że stali zbici kieby w snop, że nikt nie poruszyć się nie mógł i zrobił się taki gorący, iż ani odetchnąć, aż sędzia polecił otworzyć okna.

Teraz szła sprawa Bartka Kozła z Lipiec o kradzież świni u Marcjanny Antonówny Pacześ. Świadkowie: taż Marcjanna, syn jej Szymon, Barbara Piesek itd.

– Świadkowie czy są? – zapytał ławnik.

– Jesteśmy! – zawołali chórem.

Boryna, który dotąd samotnie a cierpliwie stał przy kracie, przysunął się nieco do Paczesiowej przywitać, boć to była Dominikowa, matka Jagny.

– Oskarżony, Bartek Kozioł, bliżej, za kratę.

Niski chłop przepychał się ze środka tak gwałtownie, aż kłąc poczęli, że depcze po kulasach i przyodziewek ozdiera.

– Cicho! ścierwy, bo prześwietny sąd mówi! – krzyknął Jacek, wpuszczając go.

– Wy Bartłomiej Kozioł?

Chłop drapał się frasobliwie po gęstych, równo obciętych włosach; głupowaty uśmiech skrzywił mu suchą, wygoloną twarz, a małe rudawe oczki chytrze skakały po sędziach niby wiewiórki.

– Wy Bartłomiej Kozioł? – zapytał znowu sędzia, bo chłop milczał.



– Dyc juści, on ci Bartłomiej Koziół, dopraszam się łaski prześwietnego sądu! – piszczała ogromna kobieta, wypychając się siłą za kraty.

– A wy czego?

– Dopraszam się łaski, a dyc ja żona tego chudziaka, Bartka Kozła – i kłaniała się ręką do ziemi, aż wyrurkowanym czepcem zawadzała o stół sędziowski.

– Świadkujecie?

– Niby to za świadka? ni, jeno dopraszam się...

– Woźny, wyrzuc ją za kratę.

– Wychodźta, kobieto, bo nie la was tu miejsce... – Chwycił ją za ramiona i pchał zadem.

– Dopraszam się prześwietnego sądu, kiej mój ano nie dosłysz na ten przykład... – krzyczała.

– Wychodźta, póki po dobremu – i aż jęknęła, tak ją ciepnał na kratę, bo ani kroku po dobroci ustąpić nie chciała.

– Wyjdźcie, będziemy głośno mówili, to choć on Koziół, a usłysz!

Zaczęło się wreszcie badanie.

– Jak się nazywacie?

– Hę?... a, przezywam?... Przeciech wołali mę, to niby wiedzieć wiedzą...

– Głupis. Jak się nazywacie? – indagował nieubłaganie sędzia.

– Bartek Koziół, prześwietny sądzie – rzuciła żona.

– Ile lat?

– Hę?... a, lat?... bo ja to pomnę! Matka, wiele to ja mam roków?...

– Pięćdziesiąt i dwa, widzi mi się, będzie na zwiesnę.

– Gospodarz?...

– I... trzy morgi piachu i ten jeden krowi ogon... sielny gospodarz.

– Był już karany?

– Hę?... karany?...

– Czy siedzieliście w kozie?

– To niby w kreminalu?... karany?... Matka, byłem to w kreminalu, hę?...

– A byłeś, Bartku, byłeś, a to cię te ścierwy dworskie o to zdechłe jagniątko...

– Juści, juści... na paśniku znalazłem zdechłe jagnię... wzionem, co miały psy rozwłóczyć... poskarżyły, przysięgły, com ukradł, sąd przysądził... wsadziły mę i siedziałem... Niesprawiedliwość jest ino, niesprawiedliwość... – mówił głucho i obzierał się nieznacznie na żonę.

– Oskarżeni jesteście o kradzież maciory Marcjannie Paczes! Wzięliście ją z pola, zagnali do domu, zarznęli i zjedli! Co macie na swoją obronę?...

– Hę? Zjadłem! Żeby tak Boga przy skonaniu nie oglądał, że nie zjadłem!... Moiściewy, zjadłem!... o świecie, o świecie rodzony, ja zjadłem! – wołał żałośnie.

– Cóż macie na swoją obronę?

– Obronę?... miałem to co rzec, matka?... Juści, baczę; niewinowatym, świni nie zjadłem, a Marcjanna Dominikowa, na ten przykład, szczeka bele co kiej ten pies, że ino chycić za ten paskudny pysk a sprać... a...





- O ludzie, ludzie!... – jęknęła Dominikowa.
- To już sobie później zrobicie, a teraz mówcie, jakim sposobem świnia Paczesiowej znalazła się u was?...
- Świnia Paczesiowa... u mnie?... Matka, co to wielmożny dziedzic rzekli?...
- A dyć, Bartku, to o tym prosiaku, co to za tobą przylazł do chałupy...
- Baczę, juści, że baczę, bo prosiak to był, a nie świnia żadna; dopraszam się łaski wielmożnego sądu, niech słyszą, com ano rzekł, i przywtórzę; prosiak to był, a nie świnia; biały prosiak, a kiele ogona abo i zdziebko poniżej czarno łaciaty.
- Dobrze, ale skąd się wziął u was?
- Niby u mnie?... Zarno wszystko dokumentnie rzeknę, z czego się pokaże la prześwietnego sądu i la zgromadzonego narodu – co jestem niewinowaty, a Dominikowa cygan jest baba, pleciuch i ozornica zapowietrzona!
- Ja cyganie! A dyć tej Najświętszej Panienci uproszę, żeby was pierun bez świętej spowiedzi nie trzasnął! – rzekła cicho, z westchnieniem ciężkim do obrazu Matki Boskiej, wiszącego w rogu izby Dominikowa, a potem, że to już ścierpieć nie mogła, wyciągnęła zwiniętą, chudą pięść do niego i syknęła:
- Ty złodzieju świński! ty zboju! ty!... – i rozczapierzyła palce, jakby go chycić chciała. Ale Bartkowa rzuciła się do niej z krzykiem.
- Co! biłabyś go, suko jedna, biłabyś, czarownico, kacie synowski, ty!
- Uciszyć się! – zawołał sędzia.
- Stulta pyski, kiej sąd mówi, bo waju wyciepnę na osobność! – poparł Jacek, podciągając parcianki, bo mu się był obertelek<sup>19</sup> oberwał.
- Uciszyło się zaraz, a baby, że to blisko było do chwycenia się za łby, stały już cicho, ino się oczami jadły a wzdychały ze złości...
- Mówcie, Bartłomieju, mówcie wszystko a prawdę.
- Prawdę?... Samą czystą kiej szkło prawdę rzeknę, rzetelnie powiem, kiej na spowiedzi, kiej gospodarz do gospodarzy, kiej swój do swojaków, bom gospodarz z dziada pradziada, a nie komornik, nie prefesjant<sup>20</sup> jaki abo i jenszy miescki zdzier. To tak było.
- Patrz dobrze w głowę, byś czegoj nie przepomniał – radziła.
- Nie przepomnę, Magduś, nie. To było tak. Szedłem se... a baczę, że to rychtyk zwiesna była... i za Wilczym Dołem, wedle Borynowej koniczyny... idę se i mówię pacierz, bo na ten przykład przedzwonili już na Anioł Pański... nocka też szła... idę se... jaż tu słyszę: głos nie głos? Loboga, myślę se: chrząka albo i nie chrząka?... Oglądnałem za się – niczegoj nie widno, cicho całkiem. Złe mę kusi czy co?... Ide dalej i że mę zdziebko mrówki oblażyły ze strachu, mówię se Pozdrowienie Anielskie. Chrząka znowu! Ciel! myślę sobie, nic, jeno swynia to abo i zasie prosiak. Zlazłem zdziebko w bok, w koniczynę i obejrzałem się... juści, że cosik lizie za mną, przystanałem ja – przystanęło i to, a białne, niskie i długie... a ślepie świeciły kiej u żbika abo zgoła u złęgo... Przeżegnałem

<sup>19</sup> *obertelek* – pasek, sznurek, służący do podtrzymywania spodni.

<sup>20</sup> *prefesjant* – człowiek wykonujący określony zawód, tu: pogardliwie.

się, a że i skóra mi ścierpła, tom ruszył lepszym krokiem – jakże, abo to wiadomo, co się po nocach tłucze?... A wszyscy w Lipcach wiedzą, co na Wilczych Dołach straszyc.

– Juści, że prawda, bo łoni, kiej Sikora przechodził tam nocą, to go ułapiło za grdykę i rzuciło o ziemię, i tak zbiło, że chłop chorzał dwie niedziele – objaśniała żona.

– Cichoj, Magduś, cichoj! Idę, idę... idę... a to fort lezie za mną i chrząka! A że to był rychtyk miesiączek wylazł se na niebo, to patrzę, a to ino prosiak, nie złe. Ozgniewałem się, bo co se ten głupi myśli – straszyc, tom rzucił nań patykiem i idę ku domowi. Szedłem se między Michałowymi burakami a pszenicą Borynową, a potem między jarką Tomka a owsem tego Jaska, co go łoni do wojska wzieni, a którego to kobieta akuratnie wczoraj zległa... Prosiak fort za mną kiej pies, to se idzie obok, to wlażł w kartofle Dominikowej i tu pysknie, i tam pysknie, i chrząknie, i kwiknie, a nie ostaje, ino za mną...

Skręciłem na ścieżkę, co bieży na przełaj – ona za mną. Gorąco mi się zrobiło, bo laboga, taka świnią, co może nie świnią! Skręciłem na drogę wedle figury, prosiak za mną... Widziałem, biały był, a kiele ogona, poniżej ździebko, czarno łaciaty! Ja bez rów – ona za mną; ja na te mogliki, co za figurą są – ona za mną, ja na kamionki, a ona kiej mi się nie rzuci pod kulasy – rymnąłem kiej długi. Opętana czy co?... Ledwim się pozbierała, a ona kiej nie zadrze ogona i w skok przede mną! A lećże se, zapowietrzona, pomyślałem. Ale nie uciekła, ino wciąż przede mną leciała – aż do samej chałupy – aż do samej chałupy, prześwietny sądzie, aż w ogrodzenie weszła, aż do sieni wlaża, a że drzwi do izby były wywarte, to i do izby poszła... Tak mi Panie Boże dopomóż. Amen!

– A potem zarznęliście i zjedli, prawda? – rzekł sędzia rozbawiony.

– Hę! Zarznęli i zjedli?... A cośwa zrobić mieli? Przeszedł dzień – prosiak nie odchodzi; przeszedł tydzień – jest, ani jej wygonić, bo z kwikiem wraca!... Moja podtykała jej, co mogła, bo jakże głodem morzyć, Boże stworzenie też... Prześwietny sąd jest mądry, to sprawiedliwie se wymiarkuje, że com z nią biedny sierota miał zrobić? Niktoj po nią nie przychodził, a w domu bieda – a żarła, że i dwie drugie tyle nie zechlają... Jeszcze z miesiąc, to by nas zeżarła i z bebechami... Co było radzić? Miała ona nas – tośwa my ją zjadły, a i to niecała, bo na wsi się zwiedziały, a Dominikowa poskarżyła, że to jej, przyszła ze sołtysem i zabrała wszystko...

– Wszystko?... a cały zad to gdzie?... – syknęła złowrogo Dominikowa.

– Gdzie? Spytajta się Kruczka i drugich piesków. Wynieśliśmy na noc do stodółki. Psy, że to czujne psie pary, a wrota były dziurawe, wyciągnęły i bal se sprawiły moją krwawicą, że chodziły obżarte kiej te dziedzice.

– Hale, świnią sama poszła za nim, głupi uwierzy, ale nie sąd. Złodziej jucha, a barana młynarzowi, a gęś dobrodziejowi to kto pokradł, co?...

– Widziałas, co? Widziałas! – wrzasnęła Kozłowa, przyskakując z pazurami.

– A kartofle z organistowego dołu to kto?... A ciągiem cosik komuś we wsi ginie, to gaska, to kury, to sprzęt jaki – ciągnęła nieubłaganie.

– Ty ścierwo! Coś ty robiła za młodu, a i co twoja Jagna teraz wyprawia z parobkami, to ci tego nikt nie wypomina, a ty kiej ten pies...

– Wara ci od Jagny! Wara, bo ci ten pysk tak spierę, że... Wara!... – ryknęła wielkim głosem, ugodzona jak w żywe mięso.



– Cichojsa, pyskacze, bo za drzwi wyciepnę! – uciszał Jacek, podciągając parcianek. Zaczęto się przesłuchiwanie świadków.

Najpierw świadczyła poszkodowana, Dominikowa – a zeznawała cichym, nabożnym głosem i przysięgała co chwila przed tą Częstochowską, jako świnia jej, i zegnała się, i biła w piersi, że prawda jest, jako ją ukradł z pastwiska Kozioł, i nie żądała od prześwietnego sądu kary na niego, niech mu już tam Jezusiczek czyścica za to nie pożałuje – ale domagała się wielkim głosem sądu i kary za to, że tak spostponował ją i Jagnę wobec całego narodu.

Świadczył potem Szymek, syn Dominikowej; czapkę powiesił na rękach złożonych jak do pacierza, oczów nie spuścił z sędziego i jęklwym, nieprzytomnym głosem zeznawał, że świnia była matczyna, że białna była cała, ino kiele ogona czarną łatę miała, a ucho rozrwane, bo ją był Łapa Borynowy chycił na zwieszę, a tak kwiczała, że chociaż w stodółce był – usłyszał...

Potem zawezwano Barbarę Piesek i innych.

Świadczyli po kolei i przysięgali, a Szymek wciąż stał z czapką na rękach, wpatrzony pobożnie w sędziego, a Kozłowa darła się za kratę z krzykiem zaprzeczeń i złorzeczeń, a Dominikowa ino wzdychała do obrazu, a poglądała na Kozła, który skakał oczami, nasłuchiwał a obzierał się na swoją Magdusię.

Naród słuchał uważnie i raz wraz szmer, to uwagi złośliwe albo śmiech się rozległ głuchy pod powałą, aż Jacek musiał przyciszać groźbą.

Sprawa ciągnęła się długo, aż do przerwy, w której sąd poszedł do sąsiedniej izby na naradę, a naród wysypał się do sieni i przed dom odetchnąć nieco: kto pojeść zdziebko, kto ze swoimi świadkami się zmówić, kto wywodzić krzywdy swoje, a jenszy znowuj wyrzekać na niesprawiedliwość a pomstować, jak to zwyczajnie bywa na rokach.

Po przerwie i odczytaniu wyroków przyszła na stół sprawa Boryny.

Jewka stanęła przed sądem i pohuśtując dziecko, obwinęte w zapaskę, jęła płacliwie wywodzić krzywdy swoje i żale; jako służyła u Boryny i pracowała, jaże jej kulasy ustawały, a nigdy dobrego słowa nie usłyszała, kąta nie miała na spanie ani jadła dość, że się u sąsiadów pożywiać musiała, a potem zasług nie zapłacił i z jego własnym dzieckiem wygnał ją w cały świat... buchnęła w końcu ogromnym płaczem i rzuciła się na kolana przed sędziami z krzykiem:

– Krzywda to moja, krzywda! a dzieciak jego, prześwietny sądzie!

– Cygani jak ten pies – mruknął Boryna ze zgrozą.

– Ja cyganie?! A dyc wszystkie, a dyc całe Lipce wiedzą, że...

– Żeś suka i latawiec...

– Wielmożny sądzie, a przódzi to mi ino mówili: Jewka, Jewuś, i jeszcze słodziej, a to mi paciorki przywieźli, a to często gęsto bułkę z miasta i mówili: naści Jewuś, naści, boś mi najmilejsza... a teraz, o mój Jezu, mój Jezu!... – poczęła ryczeć.

– Cygan, jucha, mozem cię jeszcze pierzyną przyodział i mówił: śpij se, Jewuś, śpij!...

Izba zatrzęsa się śmiechem.

– Abo nie, co? Abošta nie skamłali jako ten pies przed drzwiami, abošta mało obicowali, co?

– Loboga, ludzie, że to pierun nie zabije taką pokrakę? – zakrzyknął zdumiony.



– Wielmożny sędzie, cały świat wiedział, jak to było, całe Lipce mogą przyświadczyć, co prawdę mówię. Służyłam u nich, to mi ciągiem spokoju nie dawał. O biedna ja sierota, biedna!... O dola moja nieszczęśliwa!... Abo tom się mogła obronić przed tylim chłopem?... Krzyczałam, to mę spraf i zrobił, co chciał... A gdzież ja się podzieję z tym dzieciąteczkiem, gdzie?... Świadki powiedzą i przyświadczą! – wołała wśród płaczu i krzyków.

Ale świadkowie w rzeczywistości nic nie zeznali prócz plotek i domysłów, więc znowu ją dowodzić i przekonywać, aż w końcu jako ostatni dowód rozpowiła dziecko i położyła je przed sędziami; dziecko wierzgało nagimi nóżkami i krzyczało wniebogłoso.

– Wielmożny sąd sam obaczy, czyje ono; o, ten ci sam nos kiej kartofel, te same bure ślepie i kaprawe... Kropla w kroplę nikt jenszy, jeno Boryna!... – wołała.

Ale już i sąd nie mógł powstrzymać się od śmiechu, a naród aż huczał z uciechy, przyglądali się dziecku, to Borynie i raz wraz ktoś powiedział:

– To ci pannica, kiej ten pies odarty ze skóry!

– Boryna wdowiec, ożeniłby się z nią, a chłopak zdałby się do pasionki...

– Lenieje ci ona kiej krowa na zwiesnę.

– A urodna! jeno grochowinami przytrząść i w proso wsadzić – wszystkie gapy uciekną...

– Już i tak psy uciekają, kiej Jewusia bez wieś idzie!...

– A gębusię ci ma kiej pomyjami wymalowaną...

– Bo gospodarna, raz w rok się myje, coby na mydło nie wydawać...

– Żydom w piecach pali, czasu nie ma, to i nie dziwota!

Dogadywali coraz złośliwiej i okrutniej, a ona zmiłkła i nieprzytomnymi oczami psa zgonionego patrzyła po ludziach i ważyła coś w sobie...

– Cichoja! To grzych tak się naśmiewać nad biedotą! – krzyknęła Dominikowa tak mocno, aż pomilkli, i jaki taki drapał się po łbie ze wstydu.

Sprawa skończyła się na niczym.

Boryna poczuł niezmierną ulgę, bo chociaż nie był winien, ale zawsze bojał się ludzkiego obmówiska, no i tego że przysądzić mogą, by płacił – bo prawo juści jest ci takie, że nikiej nie wiada, kogo za łeb chyci – winowatego czy sprawiedliwego. Bywało już tak nie raz, nie dwa, nie dziesięć... bywało.

Wyszedł zaraz ze sądu i czekając na Dominikową, jął medytować i rozważać w sobie całą tę sprawę. Nie mógł zrozumieć, po co i dlaczego skarżyła.

– Ni, to nie jej rozum i głowa, to jenszy, ktoś drugi przez nią sięga, ale kto?...

Poszli z Dominikową i z Szymkiem do karczmy napić się i przegryźć coś niecoś, bo było już dobrze po południu, i chociaż mu Dominikowa napomykała z lekka, że cała ta Jewczyzna sprawa to musi być robota kowala, zięcia jego, nie mógł uwierzyć.

– Co by mu z tego przyszło?

– Tyła, żeby was pokłyźnić a podać na pośmiewisko i umartwienie. Drugi człowiek jest taki, że z jenszego la samej uciechy pasy by darł.

– Dziwno mi tej zawziętości Jewczynej! Bom nie ukrzywdził w niczym, a jesczem za chrzest tego jej bękarta dał dobrodziejowi worek owsa...





- Służy ona u młynarza, a ten w kompanii z kowalem chodzi... miarkujecie?!...
- Miarkuję, ino że nic rozeznac nie mogę! Napijwa się jeszcze!
- Bóg zapłać, pijcie przódzi, Macieju!

Napili się raz i drugi, zjedli drugi funt kiełbasy z półbochenkiem chleba, stary kupił rzudek bułek dla Józki i zabierali się do powrotu.

- Siadajcie, Dominikowa, ze mną, ckno samemu, pogwarzym...
- A dobrze, ino skoczę jeszcze do klasztoru zmówić pacierz.

Poszła, ale w dobre dwa pacierze już była z powrotem, i zaraz pojechali.

Szymek włócił się za nimi wolno, bo w jedną szkapę i piachy były srogie, ale rozebrało go nieco, że to nie był zwyczajny picia i oszołomiony sądem, to się ino kiwał sennie w półkoszkach i raz wraz przecykając<sup>21</sup> zdierał czapkę ze łba, zęgnął się nabożnie i wpatrzony nieprzytomnie w ogon szkapy, jakoby w dziedzicową twarz na sądzie, mamrotał:

- ...Świnia matczyzna, białna cała, a ino kiele ogona czarną łatę miała...

Słońce się już było przetaczało ku zachodowi, gdy wjechali w las.

Mało wiele pogadywali, choć siedzieli w podługie na przednim siedzeniu.

Czasem któreś zagadnęło jakimś słowem, że to nieobyczajnie siedzieć jak te mruki, ale ino tyła tego było, żeby śpić nie morzył i język nie zasechł...

Boryna poganiał żróbkę, bo wolniła, że to już do pół boków spotniała z umęczenia i gorąca, czasem pogwizdał a milczał, i coś żuł, coś ważył w sobie, coś kalkulował i często a niewidnie poglądał na starą, na jej suchą kieby z blichowanego<sup>22</sup> wosku twarz, całą w podługnych bruzdach zastygłą – poruszała bezzębnyimi wargami, jakby się modliła po cichu; czasem pociągała czerwoną zapaskę barzej na czoło, bo słońce świeciło prosto w oczy, i siedziała nieruchomo, ino jej bure oczy gorzały.

- Wykopaliście ta już, co? – zagadnął wreszcie.
- A juści. Obrodziły latoś niezgorzej.
- Przychować będzie wama łacniej.
- Wsadzilałm też wieprzka do karmika, bo w zapusty może się zdać...
- Pewnie, pewnie... mówiły, że Walek Rafałów przysyłał z wódką?...
- Nie on jeden, nie... ale po próżnicy ino grosz traca... nie la takich Jaguś moja, nie.

Podniosła głowę i jastrzębimi oczami wpiła się w niego, ale Boryna, że człek był w latach, nie wicher żaden, to twarz pokazał zimną i spokojną nie do rozeznania. Długo nie rzekli ni słowa, jakby się tą niemotą mocując ze sobą.

Borynie nijako było zaczynać pierwszemu, bo jakże, w latach już był i gospodarz na całe Lipce pierwszy; no i mógł to zasię tak prosto rzec, co mu się Jaguś udała?... Honor przeciech swój miał i pomyślenie – ale że krwi gorącej był z przyrodzenia, to aże go złość porywała, że musi tak baczyć na siebie, tak kołować a zabiegać.

Dominikowa przezierała go coś niecoś i miarkowała zasię, co go tak markoci i rozbiera, ale ni słówkiem nie pomogła, ino raz wraz poglądała nań, to w ten świat i te dalekości niebieskie, aż i rzekła niechęcący:

<sup>21</sup> *przecykac* – budzić się.

<sup>22</sup> *blichowany* – bielony.

– Gorąc ci taki, kieby we żniwa.

– Rzekliście.

Jakoż i tak było, bo drogę otaczały potężne ściany boru, że żaden wiaterek ni przewiew nijaki nie przedzierał się z pól, a słońce wisiało prosto nad głowami i tak dogrzewało, że rozprężone drzewa stały bez ruchu i omdlałe czuby pochylały nad drogą, i tylko raz wraz puszczały bursztynowe igliwo, co kołujący spływało na drogę. Grzybny zapach bajorów i liścia dębowego aż wiercił w nozdrzach.

– Wiecie, dziwno to mnie, a i drugim, że taki gospodarz, co to i pomyślenie nie bele jakie ma, i grontu tela, posłuch u narodu – kiej wy na ten przykład, a do urzędu ambitu nie macie...

– Utrafliście, że ambitu nijakiego nie mam. Co mi po tym? Sołtysiem byłem bez trzy roki<sup>23</sup> – tom dopłacił gotowym groszem. A com namarnował siebie i konisków! com się nakłyźnił i nabiegał – że i ten pies polowy nie więcej... A upadek w gospodarstwie był i marnacja, że jaże mi moja nie dała dobrego słowa...

– Miała i ona swój rozum. Urzędnikiem być zawždy to i honor jest, i profit.

– Bóg zapłać. Strażnikowi się kłaniaj, pisarza obłapiaj za nogi i bele ciaracha, co z urzędu – też... Wielgi mi honor! Nie płacą podatków, most się popsowa, wścieknie się pies, który weźmie kłonicą po łbie – kto winowaty?... Sołtys winowaty, do śtrafu sołtysa ciągną! Hale, jest profit! Dosyć ja pisarzowi i do powiatu nanosił i kur, i jajków, i gąskę niektórą...

– Prawdę mówicie, ale Pietrkowi wójtostwo do grdyki nie wraca, nie; grontu już dokupił i stodołkę dostawił, i konie ma kiej te hamany!...

– Juści, ino nie wiada, co mu z tego ostanie, kiej się urząd skończy...

– Myślicie...

– Oczy swoje mam i miarkuję se ździebko...

– Dufny ci on w siebie i z dobrodziejem koty drze.

– Aże mu się darzy, to ino bez kobietę; on se wójtuje, a ona w garści wszyćko dzierży. Milczeli znowu z pacierz dobry.

– A wy to nie poślecie z wódką do której?... – zapytała ostrożnie.

– I... nie bierą mę już ciągotki do kobiet, za starym...

– Nie powiadajcie po próznicy! Ino ten stary, co się ruchać nie może, łyżki sam do gęby nie doniesie i na przypiecku se dochodzi... Widziałam, kiejście worek żyta nieśli.

– Juści, zem w sobie krzepki jeszcze, ale która by ta poszła za mnie?...

– Któren nie probant, co wie? Obaczycie!

– Starym, dzieci dorastają... a pierwszej z brzegu nie wezmę...

– Zróbcie ino zapis, a i co najpierwsze się wama nie sprzeciwią...

– La zapisu! Kiej te świnie! Za tę morgę to i młódka najczystsza a pójdzie choćby za dziada spod kościoła...

– A chłopcy to za wianem nie patrzą, co?

Nie odrzekł już, jeno skropił batem źrebić, że ruszyła z miejsca galopem.

<sup>23</sup> roki – starop. nazwa sądu, sesji sądowej; oznaczała pozew i termin stawienia się w sądzie.





Milczeli długo.

Dopiero gdy wyjechali z lasu na pola, między przydrożne topole, Boryna, który cały ten czas burzył się w sobie i przegryzał, wybuchnął:

– Na psy takie urządzenie we świecie! Za wszystko płąć, choćby i za to dobre słowo! Żle jest, że i gorzej być nie było. Już nawet dzieci na ojców nastają, posłuchu nie ma nijakiego, a wszystkie się żrą ze sobą kiej psy.

– Bo głupie, nie baczą, że wszystkich jednako ta święta ziemia pokryje.

– Leda jeden abo drugi od ziemi odrósł, a już do ojców z pyskiem, coby mu jego część dawali. Ze starszych się ino prześmiewają! Ścierwy, we wsi im ciasno, porządki stare im złe, ubieru nawet wstydzą się niektórzy!

– To wszystko bez to, że Boga się nie boją...

– Bez to i nie bez to, a źle jest.

– Nie idzie na lepsze, nie.

– Ma iść, kto ich ta zniewoli?

– Kara boska! Bo przyjdzie ta godzina sądu Panajezusowego, przyjdzie.

– Ale co się przódzi narodu namarnuje, tego nikt nie odbierze.

– Czasy takie, że lepiej, coby mór przyszedł.

– Czasy! Juści, ale i ludzie są winne. A kowal to co? A wójt? Z dobrodziejem się drą, ludzi buntują a tumanią, a głupie wierzą.

– Ten kowal to moja trucizna, chociaż i zięć też...

I tak se już społecznie wyrzekali na ten świat, poglądając na wieś, co była już coraz bliżej widna, przez topole.

Pod smętarem czerwienił się już z dala rząd kobiet pochylonych i zasnutych delikatną mgłą dymów, a wkrótce i głuchy, monotony trzepot miądlic jął raz wraz dopływać z powiewem, co się był podnosił z nizinnych łąk.

– Dobry czas na miądlenie. Zleżę przy nich, bo jest tam i Jaguś moja.

– Nic mi z drogi, to was podwiezę...

– Dobrzyście, Macieju, że jaże mi dziwno... – uśmiechnęła się chytrze.

Skręcił z topolowej na polną dróżkę, co biegła do smętarnich wrótni, i podwiózł pod smętarz, gdzie pod kamiennym szarym płotem, w cieniu brzoź, klonów i tych krzyżów, co się z mogiełek pochylały ku polom, kilkanaście kobiet miądlilo zawzięcie suchy len, aż mgła pyłów wisiała nad nimi i długie włókna czepiały się żółtych listków brzoź i wisiały u czarnych ramion krzyżów; w podłe, na prętach rozpiętych, nad dołami, w których paliły się ognie, przesuszano len, mokrawy jeszcze.

Miądlice ostro kłapały, aż cały rząd kobiet pochylał się ciągle w krótkich a prędkich drganiach, i tylko coraz któraś się prostowała, roztrzepywała przygarść lnu z ostatnich październicy, związała ją w kukłę albo w chochoła i rzucała na rozpostartą płachtę przed siebie.

Słońce, że się już było przetoczyło nad lasy, świeciło im prosto w twarze, ale nic to – robota, śmiechy, wesole słowa nie ustawały ani na to oczymgnięcie.

– Szczęść Boże na robotę! – zawołał Boryna do Jagny, która miądlila z kraja zarno; w koszuli była ino a w czerwonym wełniaku i w chustce na głowie od kurzu.

– Bóg zapłać! – odrzuciła wesoło i modre, ogromne oczy podniosła na niego, i uśmiech przeleciał przez jej urodną, opaloną twarz.

– Suchy, córuchno, co? – pytała stara, obmacując obmiądłone garście.

– Suchy kiej pieprz, jaże się łamie... – Znowu spojrzała na starego z uśmiechem, aż ciarki przeszły po nim, że świsnął batem i odjechał, ale raz wraz się obracał za nią, choć już widna nie była, bo mu jak żywa stała w oczach...

– Dzieucha kiej łania... W sam raz – rozmyślał.

## IV



Była niedziela – cichy, opajęczony i przesłoneczniony dzień wrześnieowy. Na ściernisku, tuż za stodołami, paść się dzisiaj cały inwentarz Borynowy, a pod brogiem wysokim i pękatym, okrążonym zieloną szczotką żyta wykruszonego przy układaniu, leżał Kuba, dawał baczenie na inwentarz i uczył pacierza Witka – często pokrzykiwał na niego albo i zasie szturchał biczyskiem, bo chłopak mylił się i latał oczami po sadach.

– Bacz, coć rzekłem, bo to pacierz – upominał poważnie.

– Dyc baczę, Kuba, baczę.

– To czegoś ślepiasz po sadach?

– Widzi mi się, co są jeszcze jabłka u Kłębów...

– Zjadłbyś! A sadziłeś je to, co? Powtórz „Wierzę”.

– Wyście też nie wywiedli kuropatwów, a wzieniście całe stado.

– Głupis. Jabłka są Kłębowe, a ptaszki Panajezusowe, rozumiesz!

– Aleście je wzieni z dziedzicowego pola...

– I pole jest Panajezusowe. Hale, jaki mądrała, powtórz „Wierzę”.

Powtarzał prędko, bo go już kolana bolały od klęczenia, ale nie ścierpiał...

– Widzi mi się, co żróbka idzie w Michałową koniczynę! – krzyknął gotowy do biegnięcia.

– Nie bój się o żróbkę, a patrz pacierza...

Kończył wreszcie, ale już nie mógł wytrzymać, przysiadł na piętach, wykręcał się na wszystkie strony, a zoczywszy bandę wróbli na śliwkach, śmignął w nie grudką ziemi i śpiesznie bił się w piersi.

– A ochfiarowanie to zjadłeś kiej ulegałkę, co?

Powiedział ochfiarowanie i z wielką ulgą wziął się do śpiącego Łapy i jął z nim barszkować.

– Ale, gził się ciągiem będzie, kiej ten cielak głupi.

– Poniesiecie dobrodziejowi ptaszki?

– Poniesę...

– Spieklibym w polu.



– Spiecz se ziemniaków. Co mu się zachciewa!

– Idą już do kościoła! – zawołał Witek, spostrzegając przez płoty i drzewa migające czerwone zapaski na drodze.

Słońce przygrzewało niezgorzej, że wszystkie okna i drzwi chałup powywierano na przestrzał; gdzieniegdzie, pod przyzbami, myto się jeszcze, gdzie znowu czesano i zapletano warkocze, gdzie wytrzepywano świąteczne szmaty, zmięte całotygodniowym leżeniem w skrzyniach, gdzie już wychodzono na drogę, że raz wraz niby maki czerwone, niby georginie żółte, co dokwitały pod ścianami, libo te nagietki i nasturcje – tak szły kobiety strojne, szły dziewczyny, szli parobcy, szły dzieci, szli gospodarze w białych kapotach, podobni do ogromnych żytnich snopów, a wszyscy dążyli wolno ku kościołowi drogami nad stawem, któren niby misa złota odbijał w sobie słońce, aż oczy raziło.

A dzwony wciąż były radosnym głosem niedzieli, odpocznienia, modlitwy.

Kuba czekał, aż przedzwonią, ale że nie mógł się doczekać, schował pęk ptaków pod kapotę i rzekł:

– Witek, jak wydzwonią, spędź bydło do obór i przychodź do kościoła.

Ruszył, ile mógł, rychło, bo kulał srodze, dróżką biegnącą pod ogrodami, a tak zasłana żółtym liściem topoli, że szedł kieby po szafranowym kilimie.

Plebania stała na prost kościoła, przedzielona tylko odeń drogą, w głębi wielkiego ogrodu, pełnego jeszcze gruszek zielonych i jabłek rumianych.

Przed gankiem obrośniętym w poczerwienie wino Kuba się zatrzymał bezradnie, spozierając nieśmiało w okna i w sień, powywierane na oścież; a że wejść nie śmiał, cofnął się pod wielki klomb, pełen róż, lewkonii i astrów, od których bił słodki, upajający zapach; stado białych gołębi łąziło po zielonym, omszonym dachu i sfruwało na ganek.

Ksiądz chodził po ogrodzie z brewiarzem w ręku, ale raz wraz potrząsał gruszą, to jabłonką, że słycać był ciężkie pacanie owoców o ziemię, pozbierał je w połę sutanny i niósł do domu.

Kuba zastąpił mu drogę i pokornie podjął za kolana.

– Cóż to powiecie? Aha... Kuba Borynowy.

– Juści... dyć parę kuropatków dobrodziejowi przyniosłem.

– Bóg ci zapłać. Chodź za mną.

Kuba wszedł ino do sieni i ostał przy progu, bo nijak nie śmiał wejść na pokoje, poglądał tyła co przez drzwi otwarte na obrazy wiszące po ścianach i przeżegnał się pobożnie, i westchnął, a tak się czuł olśniony tymi ślicznościami, że aże łyzy miał w oczach i koniecznie chciało mu się zmówić pacierz, jeno że się bojał klęknąć na błyszczącej, śliskiej posadzce, żeby jej nie powalać.

Ale i ksiądz zaraz wyszedł z pokojów, dał mu złotówkę i rzekł:

– Bóg ci zapłać, Kuba, dobry z ciebie człowiek i pobożny, bo co niedziela chodzisz do kościoła.

Kuba podjął go za nogi, ale był tak ogłuszony radością, że ani wiedział, kiedy znalazł się na drodze...

– Cie, za te parę ptaszków, a tylachna pieniędzy! Dobrodziej kochany! – szeptał przyglądając się pieniądźowi. Nieraz ci on nosił dobrodziejowi różne ptaszki, to zajączka, to



grzybków, ale nigdy jeszcze tyła nie dostał; co najwyżej to dziesiątkę albo i to dobre słowo... A dzisiaj!... Jezu mój kochany! Całą złotówkę, i na pokoje go wołał, i tyła dobrości mu powiedział... Jezus! Aże za grdykę go coś ułapiło i lży same leciały mu z oczów, a w sercu poczuł taką gorącość, jakby mu kto zarzewia nasuł za pazuchę...

– Ino jeden ksiądz uszanuje człowieka, ino on jeden!... Niech ci Bóg da zdrowie i ta Panienska Częstochowska... Dobry z ciebie pan, dobry!... Boć cała wieś, i parobki, i gospodarze, i wszystkie, to ino go kulasem przezywali, a niezguła, a darmożadem, a niktó dobrego słowa nigdy nie dał, niktó nie pożałował – chyba ino te koniska albo i te pieski... a przecież rodowy był... gospodarski syn... nie znajda żaden... nie obieżyświat, a chrześcijan prawy, katolik...

Podnosił głowę coraz wyżej i coraz harderzej, prostował się, jak mógł, i z góry, wyzywając prawie patrzył na świat, na ludzi wchodzących na smętarz i na te konie, co stały pod murem przy wozach; nadział czapę na skołtunioną głowę i wolno, godnie ruszył do kościoła, jak gospodarz jaki, zatykając ręce za pas i tak zamiatając krzywą nogą, że kurzawa za nim wstawiała.

Nie, nie ostał dzisiaj w kruchcie jak zawdy, jak przystało la niego, jeno się mocno jął przepychać przez ciżbę i parł prosto aż przed wielki ołtarz, aż tam, gdzie stawały same gospodarze, gdzie stał Boryna i wójt sam; kaj stawały te, co nosiły baldach nad dobrodziejem, albo i te, co ze świecami kiej kłonicie trzymali straż przy ołtarzu w czas Podniesienia.

Patrzyli na niego ze zdumieniem i zgrozą, a często gęsto usłyszał przykre słowo i odebrał takie spojrzeńie, jako ten pies, któren się tam ciśnie, gdzie go nie wołają. Ale Kuba nic sobie z tego dzisiaj nie robił; ścisł w garści pieniądz, a duszę miał pełną słodkości i dobroci, jakoby po spowiedzi się czuł albo zasie i lepiej.

Zaczęło się nabożeństwo.

Uklęknął przy samej kracie i śpiewał z innymi, zapatrzony pobożnie w ołtarz, gdzie u góry był Bóg Ociec, siwy Pan i srogi, rychtyk podobny do dziedzica z Drzazgowej Woli, a w pośrodku sama Częstochowska w złocistym obleczeniu patrzyła na niego... a wszędy lśniła się pozłota, jarzyły się świece i stały bukiety papierowych czerwonych kwiatów... a ze ścian i z okien kolorowych wychylały się złote obręcze i święte, surowe twarze, i smugi złota, purpury, fioletu niby tęcza padały na jego twarz i głowę, całkiem jakby się unurzał w stawie przed zachodem, kiedy słońce bije w wodę. I poczuł się jakoby w niebie w tych ślicznościach, że ruchać się nie śmiał, ino klęczał wpatrzony w czarniawą, słodką, matczyną twarz Częstochowskiej, ino mówił pacierz za pacierzem spieczonymi wargami, a potem ino śpiewał tak żarliwie, tak ze wszystkich sił duszy wierzącej, tak sercem pełnym ekstazy, że jego zaschły, skrzypiący głos rozlegał się najdonośniej.

– Beczycie, Kuba, kiej ta koza żydowska! – szepnął mu ktoś z boku.

– La Pana Jezusa i tej Panienski... – mruknął przerywając, bo się kościół uciszył. Ksiądz wszedł na ambonę i wszyscy zadarli głowy i wpatrywali się w dobrodzieja, któren w białej komży pochylił się nad narodem i czytał *Ewangelię* – a światła i farby biły na niego z okien, że widział się wszystkim jako ten anioł płynący na tęczy... Ksiądz mówił długo



i tak mocno, że jaki taki westchnął skruszonym sercem, niejednemu łzy pociekły, a któren znów zasie spuszczał oczy i kajał się w sumieniu – i obiecywał poprawę... A Kuba patrzył w dobrodzieja, jak w obraz święty, i aż mu dziwno było, że to ten sam dobry pan, co mówił do niego i dał mu złotówkę – bo teraz wyglądał jak archanioł na ognistym wozie brzasków, twarz mu pobladła, oczy ciskały błyskawice, gdy zaczął podnosić głos i wypominać narodowi grzechy wszelkie, a skąpstwo, a pijaństwo, a rozpustę, a czynienie szkód, nieszanowanie starszych, bezbożność! I wołał wielkim głosem o upamiętanie się, błagał, zaklinał, prosił – aż Kuba nie wytrzymał i jał się trząść w sobie z winy tych wszystkich grzechów, z żalów, ze skruchy i ryknął głośnym płaczem, a za nim naród cały: kobiety, gospodarze nawet, że płacz się uczynił w kościele, chlupanie, wycieranie nosów, a gdy ksiądz z pokutną modlitwą zwrócił się do ołtarza i padł na kolana – jęk przeleciał kościół i naród, jak las przygięty wichurą, runął twarzami na podłogę, aż kurz się podniósł i niby obłokiem osłonił te serca skruszone i łzami, westchnieniami, krzykiem wołające do Pana o zmiłowanie.

A potem cichość zapadła, cichość rozmodlenia i serdecznej rozmowy z Panem, bo zaczęła się suma – organy huczały zgłuszonym, pokornym a głębokim głosem – aż dusza Kuby zamierała z lubości i szczęścia nieopowiedzianego...

A potem głos księdza podnosił się z nagłą od ołtarza i płynął nad pochylonymi głowami strugą brzmień przenikających i świętych; to dzwonki krótką salwą dźwięczały, to dymy kadzideł były pachnącymi słupami i niby obłokiem pokrywały kłęzących i rozmodlonych – a Kubę napełniały taką rozkoszą, aż wzdychał ino, rozkładał ręce, bił się w piersi i zamierał z tej słodkiej niemocy, a szmery modlitw, westchnienia, nagłe wykrzyki i jęki gdzieniegdzie, gorące oddechy, światła, dymy, głos organów zatapiały go jakoby w świętym śnie, jakoby w zapamiętaniu.

– Jezus! Jezus mój kochany! – szeptał olśniony i nieprzytomny, a złotówkę mocno dzierzył w garści, bo gdy po Podniesieniu Jambroży zaczął obchodzić z tacką i pobrękiwać, by słyszeli, że zbiera na światło, Kuba powstał, rzucił mocno pieniądz i długo, jako że tak czynili gospodarze, wybierał sobie reszty dwadzieścia i sześć groszy.

– Bóg zapłać – usłyszał z lubością.

I kiedy roznosili świece, bo nabożeństwo było z wystawieniem i procesją, Kuba wyciągnął śmiało rękę i chociaż okrutnie chciało mu się wziąć całą – wzion jednako najmniejszą, ogarek prawie, bo spotkał się z surowym, karcącym wzrokiem Dominikowej, co stała w podłe niego z Jagusią – zapalił ją wnet, bo już i ksiądz ujął monstrancję, obrócił się z nią do ludu, że padli na twarz. Zaintonował pieśń i schodził wolno po stopniach ołtarza w ulicę z nagłą uczynioną z głów rozśpiewanych, świateł płonących, barw ostrych i głosów jękliwych; procesja ruszyła, organy huknęły potężnie, dzwonki poczęły rytmicznie dzwonić, lud pochwylił wtór i śpiewał jednym ogromnym głosem wiary; a przodem ciżby, w skrętach rozchwianych świateł, migotał srebrny krzyż, kołysały się niesione feretrony, całe w tiulach a kwiatach i koronach szychowych, a już we drzwiach wielkich, którymi przez obłoki dymów kadzielnych buchało słońce, rozwijały się na wietrze pochylone chorągwie i niby ptaki purpurowe i zielone łopotały skrzydłami.

Procesja obchodziła kościół.



Kuba osłaniał dłonią świecę i trzymał się uparcie tuż przy księdzu, nad którym Boryna i kowal, i wójt, i Tomek Kłęb nieśli czerwony baldachim, a spod niego promieniała monstrancja złota i tak była cała w ogniach słońca, że przez środek szklany widać było bladą, przezroczystą Hostię świętą...

Tak był nieprzytomny, że raz wraz się potykał i nadeptywał drugim na nogi.

– Uwważaj, niedojdo!

– Pokraka, kulas jeden! – rzucali mu, poszturchując nierzadko.

Nie słyszał nic z tego; śpiew ludu brzmiał potężnym głosem, podnosił się jak słup, jak fala, zda się, płynął i bił w słońce blade; dzwony huczały nieustannie śpizowymi ustami, aż trzęsły się lipy i klony, i raz wraz jakiś czerwony liść odrywał się i niby ptak spłoszony spadał na głowy, a wysoko, wysoko nad procesją, nad czubami drzew pochylonych, nad wieżą kościoła krążyło stado gołębi zestraszonych...

\* \* \*

A po nabożeństwie naród wysypał się na smętarz przykościelny; wyszedł i z innymi Kuba, ale się dzisiaj nie śpieszył do domu, chociaż wiedział, że będzie na obiad mięso z tej dorzniętej krowy – nie, postawał, pogadywał ze znajomkami, a przysuwał się do swoich gospodarzy, bo i Antek z żoną stajali w kupie z drugimi i poredzali, jak to w niedzielę po sumie zwyczajnie.

A w drugiej gromadzie, co się już była skupiła za wrotniami na drodze, rej wodził kowal, duży chłop, ubrany już całkiem z miejska, bo w czarnej kapocie, pokapanej woskiem na plecach, i w granatowym kaszkiecie, spodnie miał na buty i srebrną dewizkę na kamizelce; twarz miał czerwoną i rude wąsy, i włosy pokręcone; rajcował donośnie a pośmiewał się, że aż rechotał, bo wykpis to był na całą wieś, że niech Bóg bronie dostać mu się na jęczór. Boryna ino strzygł oczami ku niemu a nadśluchiwał, bo się bojał jego gadania, że to nawet rodzonemu kowal nie przepuścił, a cóż dopiero teści, z którym był w wojnie o wiano żonine – ale nic nie wymiarkował, bo mu się nawinęły pod oczy Dominikowa z Jagną, wychodzące z kościoła – szły wolno, jako że i gęsto było narodu na smętarzu i że się witały to z tym, to z owym i pogadywały słowem niektórym, bo chociaż wszystkie były sobie znajome a pokumane i powinowate i z wieś jednej, że często ino bez płot libo o miedzę siedzieli – a zawsze pogwarzyć przed kościołem miło jest i potrzeba... Dominikowa rozwodziła się cichym, nabożnym głosem o dobrodzieju, a Jagna rozglądała się po ludziach, jako że wzrostem równa była i chłopom najrośniejszym, a strojna dzisiaj była, że aż oczy rwała parobków, co się w kupę zbili przed wrotniami, na drodze, kurzyli papierosy i szczyrzyli do niej zęby. Bo i urodna była, i strojna, i takiej postury, że i drugiej dziedzicównie z nią się nie mierzyć.

Dziewuchy ano i kobiety żeniate, przechodzące mimo, spozierały na nią z zazdrością abo i zgoła przystawały wpodłe, abych nasycić oczy tym jej wełniakiem pasiastym i sutym, co jak tęczą mazurską mienił się na niej, to na jej czarne trzewiki wysokie, zasznurowane aż po białą pończochę czerwonymi sznurowadłami, to na gorset z zielonego aksamitu, tak wyszyty złotem, że aż się w oczach mieniło, to na sznury bursztyńów i koralu, co otaczały





*Szły wolno, jako że i gęsto było narodu na smętarzu.*

jej, białą, pełną szyję – pęk różnobarwnych wstążek zwieszał się od nich na plecach i gdy szła, wił się za nią niby tęcza.

Ale Jagna nie widziała zazdrosnych spojrzeń, błędziła modrymi oczami po głowach i natknąwszy się na wlepione w siebie oczy Antka, oblała się rumieńcem i pociągnąwszy matkę za rękaw, ruszyła przodem, nie czekając.

– Jagna, poczekaj! – krzyknęła za nią matka witając się z Boryną.

Zatrzymała się na drodze, bo i parobcy hurmem ją otoczyli i poczęli witać a przymawiać złośliwie Kubie, którego szedł za nią, wpatrzon kieby w obraz.

Splunął jeno i powłókł się do domu, bo i gospodarze już ciągnęli, i trza było zajrzeć do koni.

– Całkiem kiej na tym obrazie! – zawołał bezwiednie, siedząc już w ganku.

– Kto, Kuba? – pytała Józia, szykująca obiad.

Spuścił oczy, bo wstyd mu się zrobiło i strach, żeby nie poznali.

Ale że obiad był syty a długi, to i wrychle zapomniał; bo mięso było, była i kapusta z grochem, był i rosół z ziemniakami, a na amen postawili niezgorszą miseczkę kaszy jęczmiennej uprażonej ze słoniną.

Jedli wolno, poważnie i w milczeniu, dopiero kiej zasycili pierwszy głód, jęli pogadywać i smakować w jadło...

Józia, że to ona dzisiaj była za gospodynią, to ino przysiadła czasami na kraju ławki, pojedła spiesznie, a pilnie baczyła, czy warza<sup>24</sup> nie schodzi, by przynieść z izby garnki i dołożyć, by nie powiedzieli, że w misce dnieje.

A obiadowali na ganku, że to czas był cichy i ciepły.

Łapa kręcił się i skamlał, to obcierał się o nogi jedzących, zazierał do misek, aż mu raz wraz ktoś rzucił kostkę jaką, z którą uciekał pod przyzbę, abo zasie ucieszon obecnością gospodarzy i że wspomniano jego imię, szczenił radośnie i gonił za wróblami, co się były wieszały po płotach, oczekując na okruszyny.

A drogą często ktoś przechodził i pozdrowiał jedzących, że hurmem odpowiadali.

– Pono ptaszki nosiłeś dobrodziejowi? – zagadnął Boryna.

– Nosilem, nosilem! – Położył z nagła łyżkę i jął opowiadać, jako go to ksiądz wezwał na pokoje, jako tam pięknie, że tyła ksiągów.

– Kiedy to on wszystkie przeczyta? – ozwała się Józia.

– Kiedy? A wieczorami! Chodzi se po pokojach, popija arbatę i ciągiem czyta.

– Musi być... nabożne wszystkie – wtrącił Kuba.

– Przeciech nie lementarze.

– A gazety to co dnia stójka przynosi – dorzuciła Hanka.

– Bo w gazetach piszą, co się dzieje we świecie... – ozwał się Antek.

– I kowal z młynarzem trzymają gazetę.

– I... to i taka kowalowa gazeta! – rzekł urągliwie Boryna.

– Takutka sama kiej księży – powiedział ostro Antek.

– Czytałeś? Wiesz?

<sup>24</sup> warza – jedzenie.





– Czytałem i wiem, a bo raz!  
– I nie zmądrzałeś nic z tego, że się zadajesz z kowalem.  
– La ojca to ino ten mądry, co chocia z półwłóczek ma abo i ogonów krowich z mendel<sup>25</sup>.

– Zawrzyj gębę, pókim dobry! A to ino okazji szuka, żeby się kłyżnić! Chleb cię to rozpiera, widzę... mój chleb...

– Ością on mi już stoi we grdyce, ością...

– Szukaj se lepszego, na Hanczynych trzech morgach będziesz jadł bułki.

– Będę żarł ziemniaki, ale mi ich niktój nie wymówi.

– Nie wymawiam ci i ja...

– Ino kto drugi?... Haruj jak ten wół, jeszcze ci słowa dobrego nie dadzą...

– We świecie jest lekciej, nie trza robić, a dadzą wszystko...

– Pewnie, że jest lepiej.

– To se idź i posmakuj.

– Z gołymi rękami nie pójde.

– Kijek ci dam, co byś się miał czym od piesków oganiać.

– Ociec! – wrzasnął Antek zrywając się z ławki, ale padł zaraz, bo Hanka ujęła go wpół, a stary popatrzył groźnie, przeżegnał się, jako że już było po obiedzie, i odchodząc do izby rzekł twardo:

– Na wycug do ciebie nie pójde, nie!

Porozchodzili się zaraz, ino Antek ostał na ganku i medytował; a Kuba wyprowadził konie na koniczysko za stodoły, uwalił się pod brogiem, aby się przespać, ale spać nie mógł, ciężło mu w żywocie jedzenie, a i ta myśl, że gdyby miał jaką strzelbę, toby mógł tyle ustrzelać ptaszków i zajączka niektórego, że co niedzielę nosiłby dobrodziejowi.

Kowal by strzelbę zrobił, jako to i borowemu zmajstrował taką, że jak strzeli w lesie, to aż we wsi się rozlega!

– Mechanik jucha! Ale pięć rubli trza mu za taką zapłacić! – rozmyślał. – Hale skąd wziąć?... na zimę idzie, kozuch trza kupić, buty też dłużej jak do Godów nie wydzierzą... Juści, winne mi są jeszcze dziesięć rubli i dwoje szmat, portki i koszulę... Kozuch choćby i z pięć... krótki będzie... buciska ze trzy... a to i czapka by się zdała... a rubla trza zanieść dobrodziejowi na wotywę za ojców... Ścierwa... że i nic nie ostanie!... – Splunął i zaczął z kieszeni w lejbiku wybierać okrucy tytoniowe i natrafił na ten pieniądz, o którym był zapomniał w czasie obiadu...

– Jest ci gotowy grosz, jest! – Odechciało mu się spać nagle; od karczmy rozległ się daleki, precedzony głos muzyki i jakby echa pokrzyków.

– Tańczą se juchy i gorzałę piją, i papirosy kurzą! – westchnął i legł znowu na brzuchu, i patrzył na spętane konie, że zbiły się w kupę i gryzły po karkach, a rozmyślał, że wieczorem musi i on zająć do karczmy i kupić sobie tytoniu, i chociaż popatrzeć na balujących. Raz wraz oglądał pieniądz i spoglądał na słońce, wysoko było jeszcze i szło dzisiaj tak wolno ku zachodowi, jakby se też krzynkę odpoczywało niedzielnie... A rwało go

<sup>25</sup> *mendel* – zwyczajowa miara używana na wsi, 15 sztuk.

tak do karczmy, że wydzierzeć nie mógł, przekładał się ino z boku na bok i postękiwał z tęskności, ale nie poszedł zaraz, bo akuratnie zza stodoły wyszedł Antek z Hanką i szli miedzą w pola.

Antek szedł przodem, a Hanka z chłopakiem na rękę za nim, czasem coś rzekli i szli wolno, a coraz to Antek pochylał się nad rolą i dotykał ręką wschodzących ździebeł.

– Idzie... gęste kiej szczotka... – mruknął i obejmował oczami te morgi, które obsiewał za odrobek ojcu.

– Gęste, ale ojcowe lepsze, idzie kiej bór! – mówiła Hanka patrząc na sąsiednie zagony.

– Bo rola lepiej doprawiona.

– Mieć ze trzy krowy, to by i ziemia się pożywiła.

– I konia swojego.

– I przychować co na sprzedaż. A tak, co? Każdą plewę, każdą obierzynę ociec rachują i mają za wielgie rzeczy.

– I wszystko wypomina!...

Zamilkli nagle, bo uczucie krzywdy zalało im serca żalem, gniewem i głuchym, szarpiącym buntem.

– Ino osiem morgów by wypadło – wykrzyknął bezwiednie.

– Juści, że nie więcej. Przecież to i Józka i kowalowa, i Grzela, i my – wyliczała.

– Kowalowe by spłacić i ostać przy chałupie i półwłóczku...

– A masz to czym? – jęknęła aż w tym uczuciu bezsilności tak silnym, że łzy jej pocięły po twarzy, gdy ogarnęła oczami te pola ojcowe, tę ziemię jak złoto czyste, gdzie i pszenica, i żyto, i jęczmień, i buraki od skiby do skiby siać było można... Tyle dobra, a to wszystko cudze... nie ich...

– Nie bucz, głupia, zawsze z tego osiem morgów nasze...

– Żeby chociaż z połowa z chałupą i z tym kapuśniskiem! – wskazała na lewo, w łąki, gdzie modrzały długie zagony kapusty; skręcili ku nim.

Siedli na kraju łąk, pod krzami, Hanka pokarmiła dziecko, bo płakać poczęło, a Antek skrzył papierosa, zapalił i ponuro patrzył przed się...

Nie mówił on żonie, co go żarło we wątpiach, ni co mu leżało na sercu niby węgiel rozżarzony, bo aniby mógł wypowiedzieć, niby zrozumiała go dobrze...

Zwyczajnie, jak kobieta, co ni pomyslenia nie ma, ni niczego nie wymiarkuje sama, ino żyje se jako ten cień padający od człowieka...

– A gospodarstwo, a dzieci, a kumy – to i cały świat la niej. Każda kobieta taka, każda... – rozmyślał gorzko i aż go ścisnęło za serce... – Ten ptak, co polatuje nad łągami<sup>26</sup>, ma lepiej niżli człowiek drugi... Co mu tam za kłopoty! Polatuje se, pośpiewuje, a Pan Jezus obsiewa la niego pola, że ino mu zbierać a pożywiać się...

– A bo to i gotowych pieniędzy ociec mieć nie ma? – zaczęła Hanka.

– Przeciech!...

– A Józce to kupić korale takie, że i krowę by kupić za nie, a Grzeli to ciągiem do wojska śle pieniądze.

<sup>26</sup> łągi – podmokłe łąki.





– Słać śle... – odpowiadał myśląc o czym innym.

– A przeciech to ukrzywdzenie wszystkich! A szmaty po matce to dusi w skrzyni i nawet na oczy nie pokaże... A wełniaki takie, a chusty, a czepki, a paciorki... – jęła długo wylizywać dobro wszelkie i krzywdy, i żale, i nadzieje, a Antek milczał zawzięcie, aż zniecierpliwiona szturchnęła go w ramię.

– Śpisz to?...

– Słucham, gadaj se, gadaj, to ci ulży! A jak skończysz, to mi powiedz...

Hanka, że to płaksiwa była, a i zebrało się jej dużo w duszy, buchnęła płaczem i jęła mu wyrzucać, że mówi do niej jak do dziewczki jakiej, że nie dba o nią ani o dzieci.

Aż Antek zerwał się na równe nogi i zawołał urągliwie:

– Wykrzykuj sobie, te gapy ano cię usłyszą i pożałują się nad tobą! – Wskazał oczami na wrony lecące mimo nad łąkami, nacisnął czapkę i wielkimi krokami poszedł ku wsi.

– Antek, Antek! – wołała za nim żałośnie, ale ani się odwrócił.

Obwinęła chłopaka i popłakując szła miedzami z powrotem do domu; ciężko jej było na sercu – ani pogadać, ani wyzalić się przed kim na dolę swoją. A to człowiek żyje ciągiem jak ten samson<sup>27</sup>, że nawet do sąsiadów pójść nie pójdzie i pogadaniem serca nie ucieszy. Dałby jej Antek kumy! Nic, ino siedź w chałupie a haruj, a zabiegaj, a jeszcze słowa dobrego nie usłyszysz! Inne do karczmy chodzą a na wesela... a ten Antek... bo to mu dogodzić można?... Czasem taki, że i do rany przyłoż... to znowu całe tygodnie ledwie bąknie jakie słowo i ani spojrzy... nic, jeno medytuje a medytuje... Prawda, że ma i o czym! Bo i ten ociec nie mógłby to już gront im odpisać, nie czas to staremu iść na wycug? A dyć dogadzałyby mu, że i rodzonemu nie byłoby u niej lepiej...

Chciała przysiąść do Kuby, ale przypiął się plecami do brogu i udawał, że śpi, choć mu słońce świeciło prosto w oczy, dopiero gdy zniknęła za węglem stodoły, podniósł się, otrząpął ze słomy i wolno jął się przebierać pod sadami ku karczmie... paliła go ano ta złotówka...

A karczma stała na końcu wsi, za plebanią, na początku topolowej drogi.

Ludzi było mało co; muzyka czasem pobrzękiwała, ale nikt nie tańczył jeszcze, za rano było, i młodzi woleli gzić się w sadzie albo wystawać na podjeździe i pod ścianami, gdzie na świeżych, żółtych jeszcze belkach siedziało sporo dziewczyn i kobiet, a w wielkiej izbie z czarnym, okopconym pułapem pusto prawie było, małe, przepalone szybki przesiewały czerwone przedzachodnie światło tak słabo, że ino smuga leżała na powybijanej podłodze, a w kątach mrok zalegał. Jakies ludzie siedzieli za stołami pod ścianą, ale roznać nie rozznał, kto taki.

Jeden Jambroży z brackim od światła<sup>28</sup> stał pod oknem z buteleczką w garści – przepijali gęsto do siebie i pogadywali...

Basy buczały jako ten bąk, kiej się wedrze do izby ze dworu i lecący huczy... a czasem skrzypka z nagła zapiskała cienko jakoby ptaszek wabiący albo i bębenek zahurkotał i pobrzękiwał... ale wnet cichość zalegała.

<sup>27</sup> samson – samotnik, sobek.

<sup>28</sup> bracki od światła – członek bractwa religijnego, mający za zadanie świecić świece w kościele.

Kuba poszedł prosto do szynkwasu, za którym siedział Jankiel w jarmułce i w koszuli tylko, bo ciepło było, pogłaskiwał siwą brodę, kiwał się i wyczytywał w książce, przykładając oczy prawie do samych kart.

Kuba się namyślał, przestępował z nogi na nogę, przeliczał pieniądze, podrapywał się po kołtunach i stał tak długo, aż Jankiel spozierał na niego i nie przestając się kiwać i modlić, brzęknął raz i drugi kieliszkami...

– Półkwaterek, ino krzepkiej! – zarządził wreszcie.

Jankiel w milczeniu nalewał i lewą rękę wyciągał po pieniądze...

– W szkło? – zapytał, zgarnawszy do opalki zaśniedziałe miedziaki.

– Juści, że nie w but!...

Usunął się na sam koniec szynkwasu, wypił pierwszy kieliszek, splunął i jął poglądać po karczmie; wypił drugi, przyjrzał się buteleczce pod światło, stuknął nią mocno.

– Dajcie no drugi i machorki! – rzekł śmieiej, bo błoga ciepłość go przejęła po gorzałce i dziwna moc rozlała mu się po kościach.

– Zastugi dzisiaj Kuba odebrał?

– Gdzieby... Nowy Rok to?...

– Może dolać araku?

– Ale... nie chwaci... – Przeliczył pieniądze i żałośnie spojrział na flaszkę araku.

– Poborguję, albo ja to Kuby nie znam!...

– Nie trzeba... chto borguje, ten się z butów zzuje... – powiedział ostro.

Mimo to Jankiel postawił przed nim flaszeczkę araku.

Opierał się, już nawet brał się wyjść, ale jucha harak tak zapachniał, że jaże w nosie wierciło, więc się i nie zmagął dłużej, jeno wypił nie medytując.

– Zarobiliście w lesie?... – pytał Jankiel cierpliwie.

– Nie w lesie... ptaszków, com je w sidła chycił, zanieśłem dobrodziejowi sześć i dali mi złotówkę...

– Złotówkę za sześć! Ja bym za każdego dał Kubie dziesiątkę.

– Jakże, przeciech kuropatwy to koszerne?... – zdumiał się.

– Niech Kubę głowa o to nie boli... niech tylko przyniesie dużo, a za każdą dostanie zaraz do ręki po dziesiątkę. Asencję<sup>29</sup> postawię na zgodę, co?

– I po całym dziesiątku Jankiel zapłaci?...

– Moje słowo nie ten wiatr. A za te sześć... to Kuba miałby nie dwa półkwatki czystej, a cztery z arakiem i śledzia, i bułkę, i paczkę machorki... rozumie Kuba?...

– Juści... cztery półkwatki z arakiem i śledzia... i... juści, nie bydleem przeciech, to miarkuję... rychtyk<sup>30</sup> prawda! Cztery półkwatki z harakiem... i machorka, i bułków... i całego śledzia... – Mroczyła go już wódka i nieco rozbierała.

– Przyniesie Kuba?...

– Cztery półkwatki... i śledź... i... Przyniesę... Cie, żebym to miał strzelbę... – ozwał się przytomniej i jął znowu obliczać – kozuch na ten przykład z pięć rubli... buty

<sup>29</sup> asencja – tu: odmiana słodkiej wódki, likieru.

<sup>30</sup> rychtyk – akurat.



by się zdały... ze trzy ruble... ni, nie chwaci... a kowal by chcieli z pięć rubli za fuzję... tyła co od Rafała... ni... – myślał głośno.

Jankiel zrobił szybkie obliczenie kredą i szepnął mu cicho do ucha:

– Zastrzeliłby Kuba sarnę?...

– Ale, z pięści nie zastrzeli, a z fuzji tobym juchę ustrzelił...

– Kuba umie strzelić?...

– Jankiel jest Żyd, to i nie wie, a we wsi wiedzą wszystkie, że chodziłem z dziedzicami do boru, że mi ten kulas przestrzelili... to umieć umiem...

– Ja dam strzelbę, dam proch, dam, co potrzeba... a Kuba, co ustrzeli, przyniesie do mnie! Za sarnę dam całego rubla... słyszy?... Całego rubla! Za proch Kuba zapłaci piętnaście kopiejek od sztuki, odtrączę... A za to, co się fuzja będzie psuć, to Kuba przyniesie ćwiartkę owsa...

– Rubla za sarnę... a niby ja za proch piętnaście... całego rubla!... niby jak to?...

Jankiel znowu wyliczał mu szczegółowo....

– Owsa?... Przeciech koniom od pyska nie odejmę... – to jedno zrozumiał.

– Po co brać koniom! U Boryny jest i gdzie indziej...

– To niby... – wytrzeszczał oczy i kalkulował.

– Wszystkie tak robią! A Kuba myślał, skąd parobcy mają pieniądze?... Każdemu trzeba machorki, a kieliszka wódki, a potańcować w niedzielę... To skąd wziąć?...

– Jakże... złodziej to jestem, parchu jeden, czy co?... – zagrmiał nagle bijąc pięścią w stół, aż kieliszki podskoczyły.

– Co się Kuba rzuci! Niech Kuba płaci i idzie sobie do diabła!...

Ale Kuba nie zapłacił i nie poszedł, nie miał już pieniędzy i winien był Żydowi... to się ino sparł ciężko o szynkwias i jał sennie obliczać, a Jankiel udobruchał się i nic już nie mówił...

Tymczasem do karczmy napływało coraz więcej ludzi, bo już mrok gęstniał, zapalili światło, muzyka raźniej się ozwała i gwar się podnosił; naród kupił się przy szynkwiasie, pod ścianami albo i zgoła w pośrodku izby i raił, pogadywał, użalał się, a kto niekto i przepijał do drugiego, ale z rzadka, bo nie na pijaństwo przyszli, jeno tak sobie po sąsiedzku postać, pogwarzyć, skrzypic posłuchać albo i basów, coś niecoś posłyszeć nowego; niedziela przeciech to odpocząć ni folgę dać ciekawości nie grzech, a choćby i ten kieliszek wypić z kumami... byle przystojnie i bez obrazy boskiej się obyć obyło, to i sam dobrodziej nie bronił... Jakże, i bydlę na ten przykład po pracy odpocząć rade i musi. A zaś przy stole zasiedli gospodarze starsi i kobiety niektóre, przyodziane w czerwone wełniaki i chusty, że widziały się jako te malwy rozkwitłe, a że razem wszyscy mówili, to ino szum szedł po karczmie, kiejby boru, i tupot nóg, jakoby bicie cepami w klepisko, i głos tych skrzypic, co ciągiem śpiewały figlujący.

– „A chto będzie za mną gonił?... za mną gonił...”

– „Oto ja... oto ja... oto ja...” – odbąkiwały stękając basy, a bębenek trząśł się ino, a chichotał, a baraszkował i wrzawę czynił brzękadłami.

Niewiela ludzi tańcowało, ale tak ostro przytupywali, aże dyle podłogi skrzypiały i stół dygotał, że raz wraz fiaszki pobrzękiwały i wywracały się kieliszki...



Ale ochoty wielkiej nie było, bo i okazji, jako to przy weselach bywa albo i zręko-  
winach, nie było. Tańcowali ot tak sobie, dla uciechy jednej albo dla wyprostowania nóg  
i grzbietów; tylko chłopaki, co mieli późną jesienią do wojska stawać, zabawiali się moc-  
niej i pili na frasunek, co i nie dziwota, bo mieli ich w tyli świat pognać, do obcych.

A wójtów brat najgłośniejszy wykrzykiwał, a po nim Marcin Białek, Tomek Sikora  
i Paweł Boryna, stryjeczny Antka, którego i sam przyszedł do karczmy o zmroku, tylko że  
nie tańczył dzisiaj, a siedział w alkierzu, z kowalem i z drugimi, i Franek młynarczyk,  
niski, krępy i kędzierzawy, ten ci gadatywus był największy i zbereźnik, i kpiarz, i na dzie-  
uchy tak łakomy, że często gęsto pysk miał zbity i podrapany. Ale że dzisiaj ochlał się  
zaraz z miejsca, jak to nieboskie stworzenie, to ino stał przy szynkwasiu z grubą Magdą  
od organisty, która była już w szóstym miesiącu.

Dobrodziej już to wypominał na ambonie i naganiał go do ożenku, ale Franek słuchać  
nie chciał, że to do wojska stawać miał jesienią, to co mu ta po babie...

Magdusia właśnie ciągnęła go w kącie do nalepy, i cosik mu mówiła płaczącym głosem,  
a on jej na to raz wraz powiadał:

– Głupias! Nie latałem za tobą... Chrzczyny zapłacę i z rubla rzucę, jak mi się spo-  
doba!... – Nieprzypadkowy był i pchnął ją, aż przysiadła na nalepie komina w poddle Kuby,  
którego już spał w popiele, a z nogami na izbie – chlipała tam sobie cicho, a Franek poszedł  
znowu pić i brać dziewczyny do tańca – gospodarskie nie chciały, bo młynarczyk, cóż to?  
Parobek prawie. A proste dziewczki też, bo pijany był i w tańcu zbereźstwa czynił, to  
ino splunął i wziął się z Jambrozym całować i z gospodarzami, którzy że mieli w młynie  
zboże, stawiali swoje...

– Wypijcie, Franek, a zmielcie rychlej, bo już mi baba głowę kołacze, że na kluski nie  
ma i ździebka mąki.

– A moja o kaszę ciągiem mi turkocze...

– Że to i ospa la karmika<sup>31</sup> potrzebna... – mówił trzeci.

Franek pił, obiecywał i przechwalał się głośno, że we młynie wszystko idzie jego głową,  
że młynarz słuchać go musi, bo jakby nie... to on zna takie sztuki, że robaki załęgną się  
w skrzyniach... woda wyschnie... ryby wyzdychają, skoro jeno chuchnie na staw... mąka  
się tak zwarzy, że i placka z niej nie upiecze...

– Oskubałabym ci ten łeb barani, żebyś mnie tak zrobił! – wykrzyknęła Jagustynka,  
która zawsze bywała tam, gdzie i wszyscy, bo chociaż nie pijała, że to mało kiedy był ten  
grosz gotowy, ale zdarzyć się mogło, co kum postawił półkwaterek jaką albo powinowaty  
drugą – bo się jej ostrego języka bali. Toć i Franek, choć był pijany a zląkł się jej i zmil-  
knął, bo wiedziała o nim różne różności, jak to we młynie gospodarzy, a ona, że to już była  
podpita nieco, ujęła się pod boki, przytupywała w takt i nuż wykrzykiwać:

– Tańczą kiej muchy w smole! Jewka, a ruchajże się. Ganiała gdziesik po nocy, a teraz  
śpi w tańcu. Tomek! A prędzej! A to ci tak cięży ta ćwiartka, coś ją Jankłowi sprzedał,  
co?... Nie bój się, ociec jeszcze nie wiedzą. Marysia! Zadawaj się z rekrutami, zadawaj,  
a proś mę z miejsca na kumę...

<sup>31</sup> karmik – tu: utuczony wieprz.



I tak dalej dogryzała po kolei tanecznikom; niepomiarkowana była i zła na wszystkich, że to dzieci ją skrzywdziły, a ona na starość na wyrobek chodzić musiała, ale że nikt nie odpowiadał, wykrzyczała się i poszła do alkierza, gdzie siedział kowal z Antkiem i kilku młodszych gospodarzy.

Lampa wisiała u czarnego pułapu i mdłym żółtawym światłem rozjaśniała jasne, powichrzone głowy – siedzieli dokoła stołu, wsparli się mocno na rękach i wszyscy oczy utkwili w kowala, którego pochylony nad stołem, czerwony, rozkładał szeroko ręce, czasem bił pięścią i gadał z cicha:

– Prawdę mówię, bo tak stoi w gazecie wypisane, wyraźnie jak wół... Nie tak ludzie żyją we świecie jak u nas, nie! Co jest? Dziedzic ci panuje, ksiądz ci panuje, urzędnik ci panuje – a ty ino rób a z głodu zdychaj i każdemu się nisko kłaniaj, żebyś po łbie nie obe-rwał...

– A gruntu mało, że niedługo to i po zagonie na człowieka nie starczy!

– A dziedzic ma sam więcej niż dwie wsie razem...

– Powiadali wczoraj na sądach, że nadawać będą nowe grunta.

– Jakie?

– Czyżby – a dworskie!

– Ale! Daliśta dziedzicom, to odbierać będziecia! Ale, cudzym już się rządzą – krzyk-nęła Jagustynka, nachylając się do nich ze śmiechem.

– ...I sami się rządzą – ciągnął dalej kowal, nie zważając na babie powiedzenie nic – a wszyscy we szkołach się uczą, we dworach mieszkają i panami są...

– Gdzie to tak? – zapytała Antka, którego zaraz z kraju siedział.

– W ciepłych krajach! – odrzucił.

– To kieć tak dobrze, czemuż to kowal tam nie pojechał, co?... Smoluch jucha, łże jak ten pies i tumani, a wy głupie wierzyta! – zawołała namiętnie.

– Mówię po dobremu: idźcie sobie, Jagustynko, skądżeście przyszli...

– A nie pójdę! Karczma la wszystkich, a ja taka dobra za swoje trzy grosze jak i ty! Ale, nauczyciel jaki, Żydom się wysługuje, z urzędnikami trzyma, o stają czapkę przed dzie-dzicem zdejmuje, a te mu wierzą!... Pyskacz jeden!... Wiem ja... – ale już nie skończyła, bo ją kowal krzepko ujął pod żebra, nogą otworzył drzwi i wyrzucił do wielkiej izby, że padła jak długa w pośrodku.

Nie pomstowała nawet, tylko powstawszy rzekła wesoło:

– Krzepki jucha kieć koń, zdałby mi się taki na chłopa...

Naród gruchnął śmiechem, a ona wyszła zaraz pomstując z cicha.

Ale już i karczma pustoszała, muzyka zmiłkła, ludzie się rozchodzili do domów, to stawali kupkami przed karczmą, bo to i wieczór był ciepły i jasny, księżyc świecił, tylko rekruci jeszcze ostali i pili na umór i wykrzykiwali, a Jambroży, spity jako bydłę, wylazł na środek drogi i wyśpiewywał, taczając się ze strony na stronę.

A i ci z alkierza, z kowalem na czele, wyszli.

Potem, kiedy już Jankiel począł gasić światła, rekruci się wytoczyli, ujęli się mocno pod ręce i szli całą drogą śpiewający z gardła wszystkiego, aże psy ujadały i jaki taki z cha-lupy wyrżał...



Kuba tylko spał wciąż w popiele tak krzepko, aż go Jankiel budzić musiał, ale parobek wstać nie chciał, kopał, to grzmocił w powietrze i mruczał:

– Pódzi, Żydzie. Jak chcę, tak spał będę... gospodarz jestem, to wolę swoją mam, a tyś żółtek i parch!...

Wiadro wody pomogło, że wstał i wytrzeźwiał nieco, jeno ze strachem a zdumieniem słuchał, jako całego rubla przepił – którego winien jest...

– Jakże?... dwa półkwatki z harakiem... całego śledzia... machorki... i jeszcze dwa półkwatki... to już cały rubel?... Jakże?... dwa... – majaczyło mu się.

Jankiel przekonał go w końcu i porozumieli się co do strzelby, którą Żyd miał mu przywieźć z jarmarku, a na zgodę postawił esencji ze spirytusem...

Tylko owsa stanowczo Kuba przynosić nie obiecywał.

– Ociec Kubów złodziej nie był, to i syn jego złodziej nie jest.

– Idźcie już sobie, czas spać... a ja mam jeszcze pacierze odmawiać...

– Cie!... spekulant jaki! Do złodziejstwa namawia, a pacierze mówić będzie... – mruzczał idąc ku domowi i jał sobie przypominać i kalkulować, bo nijak nie chciało mu się w głowie pomieścić, że całego rubla przepił... ale że jeszcze nie wytrzeźwiał i powietrze go rozebrało, to potaczał się ździebko a i raz wraz włożył na płoty, to na budulec leżący gdzieśgdzie przed chałupami i kłął...

– Żeby was, juchy, pokręciło!... Łajdusy jedne... żeby tak drogę pozastawiać!... nic, jeno się pochlały... zbereźniki... a dobrodziej na darmo wypomina... a dobrodziej... – tu się zastanowił długo i miarkował, aż i wreszcie chyciło się go rozeznanie i żałość taka, aż przystanął, oglądał się dookoła, pochyłał szukając czego by twardego do ręki... ale zapomniał wnet i chwycił się za kudły, i jał się prać po pysku kułakiem i wykrzykiwać:

– Pijanica jesteś i świnia zapowietrzona! Do dobrodzieja cię zawlekę, niech cię wypomni przed całym narodem, żeś pies i pijanica... żeś dwa po dwa półkwatki... żeś całego rubla przepił... żeś jako to bydlę albo i gorszy!... żeś...

I żałość z nagła go objęła nad sobą, że przysiadł na drodze i buchnął płaczem.

Jasny, ogromny księżyc płynął w przestrzeniach ciemnych, a gdzieśgdzie, z rzadka kieby srebrne gwoździe, gwiazdy błyskały; mgły szarą, nikłą przedzą motały się nad wsią i przesłona powlekały nad wodami. Niezgłębiona cichość nocy jesiennej przejmowała świat, tylko gdzieśgdzie wyrwały się śpiewy wracających z karczmy albo ujadania psów.

A na drodze przed karczmą Jambroży taczał się ze strony na stronę i śpiewał wciąż, nieustannie, aż do wytrzeźwienia:

*Da Maryś moja, Maryś!*

*Da komu piwo warzysz?*

*Da komu piwo warzysz?...*

*Da Maryś moja, Maryś!...*



## V



esień szła coraz głębsza.

Blade dni wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bladsze – niby te święte Hostie w dogasających brzaskach gromnic.

A co świtanie – dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś znad zórz, leciały nisko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za nimi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami, że spływały cicho niby łzy – krwawe łzy umarłego lata, i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie – wsie budziły się później: leniwiej bydło szło na paszę, ciszej skrzybiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy przytłumione martwotą i pustką pól, i ciszej, trwożniej tętniło życie samo – a niekiedy przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i te rogate, potężne łby podnosiły się od traw pożółkłych i przeżuając z wolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żalosny ryk tłukł się po pustych polach.

A co świtanie – mroczniej było i zimniej i niżej dymy rozsnuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po stodołach i brogach, a wrony siadały na kalenicach, to wieszały się na nagich drzewach lub krążyły nad ziemią kracząc głucho – jakoby pieśń zimy śpiewając żalosną.

Południa były słoneczne, ale tak martwe i nieme, że poszumy lasów dochodziły głuchym szmerem i bełkot rzeki rozlegał się jak łkanie bolesne, a szczątki babiego lata rwały się nie wiadomo skąd i przepadały w ostrych, zimnych cieniach chałup.

A smutek konania był w tych południach cichych, na pustych drogach leżało milczenie, a w odartych z liści sadach czaiła się głęboka melancholia żalości i trwogi zarazem.

I często, coraz częściej niebo powlekało się burymi chmurami, że już o letnim podwieczorku musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat...

Doorywano podorówki, że niektórzy kładł skibę ostatnią już o gęstym mroku, a wracając do dom obzierał się jeszcze za się na rolę i żegnał ją westchnieniem do wiosny.

A na przedwieczereż często spadały deszcze, krótkie były jeszcze, ale zimne i coraz częściej przeciągały się do zmroku – do długiego jesiennego zmroku, w którym jak kwiaty złote płonęły okna chat i szkliły się kałużami puste drogi – a mokra zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach. Nawet ten bociek z przetrąconym skrzydłem, co się był ostał i którego widywano samotnie brodzącym po łąkach, przychodzić jął pod bróg Boryny albo i zasię na samo podwórze, gdzie mu Witek skwapliwie podrzucał na przyręniętą jadło.

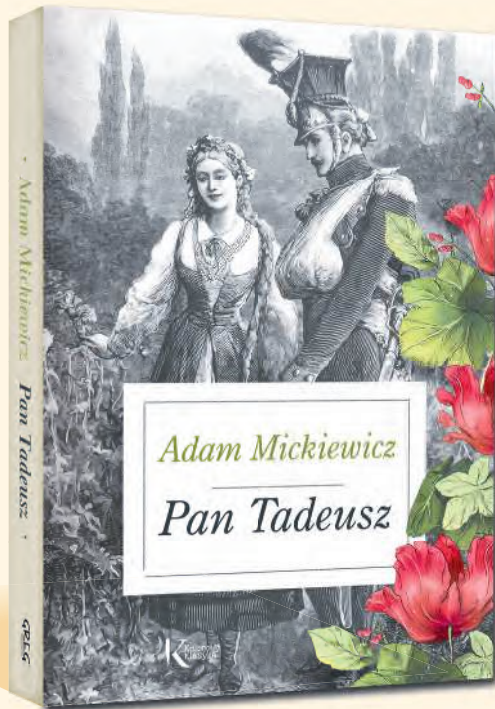
A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś; i te zwyczajne, proszalne, co z torbą głęboką i z pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem





## pis treści

TOM I – JESIEŃ .....	5
TOM II – ZIMA .....	164
TOM III – WIOSNA .....	335
TOM IV – LATO .....	547

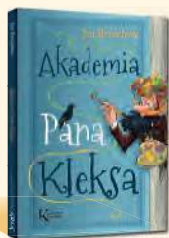


Wyjątkowa edycja epopei narodowej *Pan Tadeusz* Adama Mickiewicza została wzbogacona o niepowtarzalne ilustracje Michała Elwiro Andriollego z 1882 roku. Te oddające ducha epoki ilustracje doskonale prezentują sielankowy czar Soplicowskiego dworku, ukazując niezapomnianych bohaterów i wspaniałą przyrodę litewskich borów. Adam Mickiewicz przedstawił w *Panu Tadeuszu* zmierzch Polski szlacheckiej. Bohaterów swoich zaprezentował z sympatią, ukazując polskie tradycje i zwyczaje, piękno ojczystej przyrody.

Wydanie zostało opracowane graficznie przez Paulinę Wyrł – misterne, kolorowe ornamenty roślinne wspaniale uzupełniają i ozdabiają wydanie. Szlachetny papier i estetyczna oprawa sprawiają, że książka jest trwała i wspaniale się prezentuje. Serdecznie polecamy!

# Skompletuj całą serię

**K** Kolorowa  
Klasyka



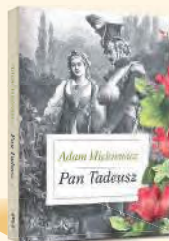
**AKADEMIA  
PANA KLEKSA**  
Jan Brzechwa



**PODRÓŻE  
PANA KLEKSA**  
Jan Brzechwa



**TRYUMF  
PANA KLEKSA**  
Jan Brzechwa



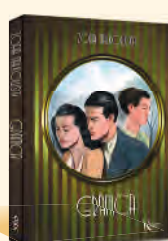
**PAN TADEUSZ**  
Adam Mickiewicz



**ROMEO I JULIA**  
William Szekspir



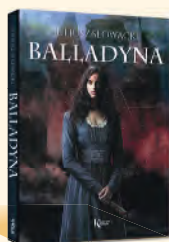
**OPOWIEŚĆ WIGILIJNA**  
Karol Dickens



**GRANICA**  
Zofia Nałkowska



**QUO VADIS**  
Henryk Sienkiewicz



**BALLADYNA**  
Juliusz Słowacki



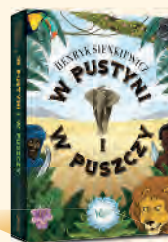
**LALKA**  
Bolesław Prus



**ZBRODNIA I KARA**  
Fiodor Dostojewski



**TRZEJ  
MUSZKIETEROWIE**  
Aleksander Dumas



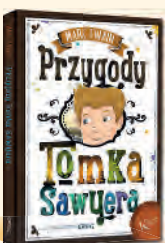
**W PUSTYNI  
I W PUSZCZY**  
Henryk Sienkiewicz



**TAJEMNICZY  
OGRÓD**  
Frances Hodgson  
Burnett



**W 80 DNI  
DOOKOŁA ŚWIATA**  
Juliusz Verne



**PRZYGODY  
TOMKA SAWYERA**  
Mark Twain



**LASSIE, WRÓĆ!**  
Eric Knight



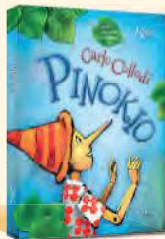
**ANIA Z ZIELENEGO  
WZGÓRZA**  
Lucy Maud Montgomery



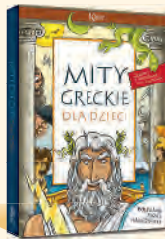
**PAJĄCZEK  
NA ROWERZE**  
Ewa Nowak



**PIĘKNA I BESTIA**  
Jeanne-Marie  
Leprince de Beaumont



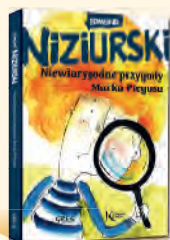
**PINOKIO**  
Carlo Collodi



**MITY GRECKIE  
DLA DZIECI**  
Lucyna Szary



**O PSIE, KTÓRY  
JEŹDZIŁ KOLEJĄ**  
Roman Pisarski



**NIEWIARYGODNE  
PRZYGODY  
MARKA PIEGUSA**  
Edmund Niziurski



**AWANTURA  
W NIEKŁAJU**  
Edmund Niziurski



**KLUB WŁÓCZYKIÓW,  
CZYLI TRZYNAŚCIE  
PRZYGÓD STRYJA  
DIONIZEGO**  
Edmund Niziurski



**SIÓDME  
WTAJEMNICZENIE**  
Edmund Niziurski



**SPOSÓB  
NA ALCYBIADESA**  
Edmund Niziurski



**KSIĘGA  
URWISÓW**  
Edmund Niziurski



**DOKTOR DOLITTLE  
I JEGO ZWIERZĘTA**  
Hugh Lofting



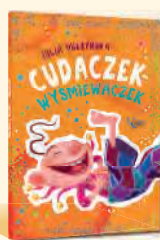
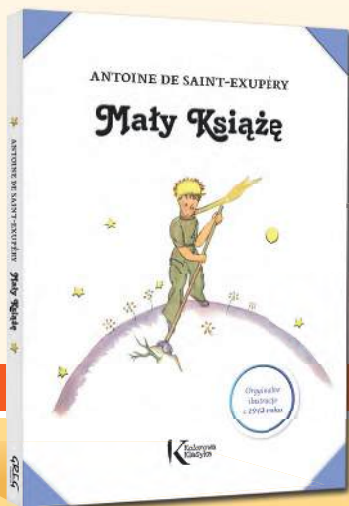
**LOKOMOTYWA  
I INNE WERSZE**  
Julian Tuwim



**BRZECZWA  
DZIECIOM**  
Jan Brzechwa



**KRÓL MACIUS  
PIERWSZY**  
Janusz Korczak



**CUDACZEK-  
WYŚMIEWACZEK**  
Julia Duszyńska



**KLASYKA WERSZY  
DLA DZIECI**  
Julian Tuwim



**KLASYKA WERSZY  
DLA DZIECI**  
Jan Brzechwa

**Pełnej oferty szukaj w najlepszych księgarniach i na [www.greg.pl](http://www.greg.pl)**

◀ **MAŁY KSIĄŻE** (z ilustracjami Autora z 1942 roku)  
Antoine de Saint-Exupéry

**K** Kolorowa  
Klasyka





”

Jesień szła coraz głębsza.

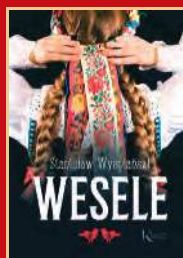
Blade dni wlekły się przez puste, ogłuchłe pola i przymierały w lasach coraz cichsze, coraz bladsze – niby te święte Hostie w dogasających brzaskach gromnic.

A co świtanie – dzień wstawał leniwiej, stężały od chłodu i cały w szronach i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwitało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś znad zórz, leciały nisko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za nimi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom pochylonym nad drogami, że spływały cicho niby łzy – krwawe łzy umarłego lata, i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie – wsie budziły się później: leniwiej bydlę szło na paszę, ciszej skrzybiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy przytłumione martwością i pustką pól, i ciszej, trwoźniej tętniło życie samo – a niekiedy przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną... albo i te rogate, potężne łby podnosiły się od traw pożółkłych i przeżuując z wolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żaloszny ryk tłukł się po pustych polach. (...)

Skompletuj całą serię Kolorowa Klasyka:

Wesele



Pan Tadeusz



Dziady



Krzyżacy



Quo vadis



i inne tytuły.

ISBN 978-83-7517-913-2



9 788375 179132 >

Kolorowa  
Klasyka

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków

[www.greg.pl](http://www.greg.pl)